EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 1 Października 1933 R. | NR. 40 (53)

Jedna z trybun

Plaga snobizmu

Drogi historji

Biedna Warszawa

Na drodze szczęścia

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Czosnowski. Wajsblum. Czarnowski. Lukrec. Wasowski. Szpecht. Wojciechowski.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

KARA ŚMIERCI NIE ODSTRASZA

W szeregu krajów europejskich zniesiono karę śmierci. Czy kraje te wykazują większą ilość morderstw od krajów, w których kara śmierci jest stosowana? Odpowiada na to statystyka. W Holandji zniesiono karę śmierci w roku 1870, a począwszy od roku 1861 ani jeden wyrok śmierci nie został wykonany. W kraju, który od 70 zgórą lat nie stosuje kary śmierci, statystyka notuje spadek cyfry zasądzonych za morderstwo z 0,1 (na 10 tysięcy mieszkańców) w r. 1870 — do 0.04 w roku 1926.

Statystyka ta, potwierdzona przez cyfry, dotyczące Szwecji, Norwegji i Szwajcarji, dowodzi, że zniesienie kary śmierci nie wpływa bynajmniej na wzrost liczby morderstw. Kara śmierci nie odstrasza. W klasycznej debacie nad tem zagadnieniem, która toczyła się w parlamencie Związku Północnych Niemiec w roku... 1870, przemawiał m. in. poseł Schwarze, którego słowa nie utraciły na aktualności pomimo upływu 60-ciu zgórą lat.

„Jest rzeczą dowiedzioną — mówił Schwarze — że przestępcy nie znają lęku przed karą śmierci. Pewien wybitny prawnik francuski słusznie wskazał, że kto popełnia przestępstwo, ten jest przekonany, że ono nigdy nie zostanie wykryte. Kto został pochwycony i osadzony w więzieniu, ten nie wierzy, że zostanie skazany, a kto został już skazany, ten święcie wierzy, że zostanie ułaskawiony. Groźba kary w żadnem z wymienionych stadjów nie spełniła swego zadania. Czy sądzicie panowie, że którykolwiek spadkobierca otrułby tego, po którym dziedziczy, gdyby miał pewność, że czeka go dożywotnie więzienie? Czy przypuszczacie panowie, że znalazłby się taki grabieżca, któryby nie wyobrażał sobie, że będzie mógł spokojnie spożywać owoce swojej grabieży? Powiedzcie mu, że czeka go dożywotnie więzienie, a z pewnością nie wykona swego zamiaru. Pewien morderca, na zwróconą przezemnie uwagę, że niedawno przecież inny przestępca został pochwycony, skazany na śmierć i stracony, co powinno być ostrzeżeniem dla popełniającego zbrodnię — odpowiedział: „Nie przypuszczałem przecież, że równie niezdarnie i głupio się urządzę, jak on".

INTERESUJĄCE SPOSTRZEŻENIA

W moskiewskich *Izwiestjach* ukazał się ciekawy artykuł E. Strogowa „O uczniach i nauczycielach sowieckich". Przytaczamy niektóre wyjątki:

„Podczas ostatniego roku szkolnego zorganizowano w 25-tej szkole wzorowej dzielnicy „Październik" ankietę na temat: „Jak chciałbyś spędzić wolny od zajęć dzień?" Odpowiedzi były nieoczekiwane: „Chciałbym doznać nudy", „Chciałbym nic nie robić" albo „Pozostać sam w domu".

„Dlaczego dzieci wyraziły tak niezrozumiałe w ich wieku pragnienie — nudy? Ponieważ dość mają „wesołych" dni wspólnych wycieczek według niewzruszonego programu: zrana wycieczka „na łono odradzającej przyrody", wieczorem — kolektywne zwiedzanie kina lub teatru.

...„Przysłuchiwałem się pewnego dnia rozmowie, jaką prowadził pisarz Erenburg z uczniami tej szkoły. Rozmowa toczyła się o lekturze książek, szczególnie ulubionych przez młodzież. Dzieci stanowczo i uporczywie zaprzeczały, jakoby cokolwiek czytały wyłącznie dla przyjemności. „Annę Kareninę" Tołstoja czytały np. „dla poznania dawnej obyczajowości".

Erenburg zadał wówczas podstępne pytanie:

„Czy rząd sowiecki nic nie czyni dla przyjemności obywateli? W Moskwie np. istnieje mnóstwo kwietników, a w restauracjach stoją wazony z kwiatami.

„Kwiaty są tu dla higjeny, a nie dla przyjemności — padła chóralna odpowiedź cienkich głosów.

„Jakiż żal ogarnia wobec tych młodych racjonalistów!

...„Szkoła popełnia wiele błędów w swoich stosunkach z rodziną. Niedawno pewien ojciec, robotnik — analfabeta, który pobił swego ośmioletniego syna, wezwany był przez szkołę do publicznego przeproszenia dziecka.

„Wybacz mi, synu — oświadczył przed zebranemi dziećmi i nauczycielstwem — tylko, towarzysze sędziowie, po takim wstydzie przed tym smarkaczem, mówię wam: zabierzcie go, nie chcę go widzieć u siebie w domu".

SANTONA

Santona jest małem osiedlem rybaków hiszpańskich, które żyje z połowu śledzi. Zawód, uprawiany przez ludność Santony, nie ma nic wspólnego z wojowniczym wyglądem osady, jaki nadaje jej obecność potężnego portu. Fort ten był doniedawna nadzieją dobrobytu ludności Santony: położenie strategiczne osady, z której Napoleon zamierzał stworzyć rywalkę Gibraltaru, było podstawą niezziszczonych do dziś nadziei jej rozwoju. Ludność Santony pozostała tem, czem była od wieków, wykonywując prosty zawód rybacki i zadawalając się nikłemi dochodami.

Niespodzianie zawisła nad Santoną tragedja zupełnej nędzy i głodu. Połów tegoroczny całkowicie zawiódł, co oznaczało — pozbawienie ludności jedynego środka utrzymania. Codziennie mężczyźni, wyczerpani bezskutecznemi wysiłkami, wracali z pustemi sieciami. O zmroku łodzie powracały do portu próżne. Wygłodzone kobiety i dzieci, robotnicy fabryki konserw, utrzymujący się wyłącznie z przetwarzania rybich produktów, starzy rybacy, żyjący z pomocy młodszych, pracujących towarzyszy—słyszeli codziennie tę samą odpowiedź: „Dziś znowu nic nie złowiliśmy".

Związki robotnicze rybackie rozdzieliły wszystkie posiadane zasoby pieniężne, kooperatywy, wyczerpawszy zapasy, przestały dostarczać ludności chleba. Władze miejscowe rychło zużyły na zapomogi swe skromne zasoby. Santona stanęła w obliczu straszliwego widma głodu. Ludność skierowała szereg petycyj do władz madrydzkich. Dotychczas nie odniosły one żadnego skutku. Pismo madrydzkie *Ahora* komentuje bezskuteczne zabiegi głodującej Santony następującemi słowami: „Jaka nadzieja pozostała nieszczęśliwym mieszkańcom Santony? Wystosowali błagalną petycję do rządu. Lecz rząd ma, zdaje się, pilniejsze troski. Cóż zresztą znaczy w porównaniu z niedawnem przesileniem ministerjalnem, głód, który dręczy przeszło tysiąc rodzin nędznych rybaków?"

KŁAMLIWE CYFRY

Oficjalna statystyka Rzeszy o bezrobociu podaje na koniec sierpnia cyfrę 4.128.000, która oznaczałaby znaczny spadek bezrobocia w stosunku do ubiegłych miesięcy. Zmniejszenie się liczby bezrobotnych nie posiada jednak cech prawdziwości, a temsamem pozbawione jest poważniejszego znaczenia gospodarczego.

Wśród liczby 1.886.000 bezrobotnych, których wyeliminowano od kwietnia ze statystyki, znajduje się 257 tysięcy wcielonych chwilowo do „ochotniczej" służby pracy. 200 tysięcy robotników wysłano na okres robót polnych i żniw — na wieś. Znaczną pozycję stanowią bezrobotni, którzy otrzymali „pracę polityczną" jako nowi funkcjonarjusze partji narodowo - socjalistycznej. W Norymbergji kadry szturmowe, które przedefilowały przed Hitlerem, liczyły zgórą 200 tysięcy ludzi. W fabrykach *nazi* zajmują miejsce robotników, podejrzanych o komunizm. Uwięzieni lub internowani w koncentracyjnych obozach nie figurują już w danych statystycznych.

W handlu, przemyśle i bankowości pracownicy — Żydzi musieli ustąpić miejsca aryjczykom, a pozbawieni wszelkiej nadziei otrzymania zajęcia, rezygnują z zapisywania się do urzędów pośrednictwa pracy.

W wielu zawodach kobiety są zastępowane przez mężczyzn, wracając do zajęć domowych. W znacznej liczbie fabryk przeprowadzono redukcję godzin pracy celem zatrudnienia nowych robotników, którzy w wypadku kilkugodzinnej często pracy w ciągu tygodnia — znikają z listy pozbawionych zajęcia.

Uzupełniwszy temi poprawkami oficjalne dane statystyczne, dochodzimy do wniosku, że zmniejszenie bezrobocia jest w przeważnej części wynikiem sztucznych zabiegów, któremu nie odpowiada bynajmniej realne polepszenie sytuacji gospodarczej.

KONGRES HISTORJI SZTUKI

W Sztokholmie odbył się XIII-ty międzynarodowy Kongres historji sztuki. Stolica Szwecji, odświętnie przybrana w flagi wielu narodów, przyjmowała z entuzjazmem przedstawicieli różnych krajów i ras. Otwarcie Kongresu odbyło się w hallu Północnego Muzeum. Po powitalnej przemowie następcy tronu szwedzkiego przemawiali kolejno przedstawiciele narodów, m. in. prof. W. Tatarkiewicz z Warszawy.

Napływ uczestników był tak wielki, że w ostatniej chwili przeniesiono posiedzenie do olbrzymiego pałacu Riksdagu, który podczas trzech dni był widownią spokojnych konferencyj, zamiast burzliwych debat politycznych.

W ostatnim dniu Kongresu Polacy wysunęli się na czoło prelegentów. Już dnia poprzedniego prof. Treter mówił o narodowym charakterze malarstwa impresjonistycznego w Polsce. Skolei prof. Władysław Tatarkiewicz wygłosił referat o renesansie 17-go wieku. P. J. Starzyński scharakteryzował Jana Sobieskiego, jako mecenasa sztuki, p. Święcicki omawiał sztukę ukraińską, a prof. Morelowski — ślady wpływów holenderskich w architekturze wileńskiej. Prof. Komorowski z Krakowa przemawiał na plenum, omawiając kwestję nacjonalizmu w sztuce.

Na uroczystem zamknięciu zjazdu postanowiono, że następny Kongres odbędzie się w 1937 roku w Szwajcarskiej miejscowości Bâle.

JEDNA Z TRYBUN

Dnia 4 października, w gmachu Senatu w Madrycie nastąpi otwarcie XXIX-go Kongresu Unji Międzyparlamentarnej. Instytucja ta ma już za sobą półwiekową niemal przeszłość. Pierwsze, mgławicowe jeszcze projekty Unji, rzucił po wojnie francusko-pruskiej w 1870 r. br. Walterskirchen, członek parlamentu wiedeńskiego, a idea jego, torująca sobie zwolna drogi w opinji, doprowadziła w 1888 r. do organizacyjnego zebrania Unji Międzyparlamentarnej w Paryżu.

Początkowo celem jej było tylko szerzenie idei rozjemstwa międzynarodowego, wkrótce jednak rozszerzono zakres działania Unji na badanie wszelkich zagadnień międzynarodowych, do których rozwiązania niezbędne jest współdziałanie parlamentów.

Jeśli w ostatnich czasach idea arbitrażu z okresu utopijnego pacyfizmu weszła w stadjum częściowej przynajmniej realizacji, to jest w tem duża zasługa Unji Międzyparlamentarnej, która 20 lat przed wojną światową rzuciła projekt utworzenia stałego międzynarodowego trybunału rozjemczego, a w kilka lat później zainicjowała zwołanie konferencji pokojowej w Hadze i przedstawiła na niej konkretny projekt traktatu rozjemczego. Dziś, ówczesne wyniki wysiłków Unji Międzyparlamentarnej mogą się wydawać nikłemi, ale wówczas, w okresie największego natężenia imperjalizmu i militaryzmu przeforsowanie idei rozjemstwa i zwołanie konferencji pokojowej było doniosłym sukcesem myśli pokojowej.

Mimo wytężonej działalności i rosnącego autorytetu moralnego, najrozpaczliwsze wysiłki Unji, protesty, odezwy i depesze, apelujące do zdrowych zmysłów ludzkości, nie mogły powstrzymać rozpętanego szaleństwa i zapobiec wybuchowi wojny.

Wojna zaś, wciągnąwszy w swój wir większość państw, należących do Unji, z konieczności zahamowała jej działalność.

I wówczas jednak nie tracono czasu, ani nadziei. Szwajcarska grupa międzyparlamentarna podjęła inicjatywę wspólnej akcji innych grup państw neutralnych na rzecz pokoju, w 1915 r. w Hadze zawiązano organizację dla ustalenia zasad tego pokoju i w 1917 r., gdy jeszcze huczały armaty, ukazały się opracowane przez Unję warunki trwałego pokoju — jedna z pierwszych prób sformułowania zasad nowego porządku w Europie.

W wyniku wojny niektóre postulaty Unji zostały urzeczywistnione. Powstały liczne instytucje międzynarodowe, których utworzenia oddawna domagała się Unja, rezerwując dla siebie rolę czynnika, urabiającego opinję na terenie parlamentarnym i w tym charakterze stając się pożądaną współpracownicą Ligi Narodów — reprezentantki państw.

Po wojnie przed Unją Międzyparlamentarną stanęły nowe zadania, narzucone przez nowy układ stosunków i kiełkowanie nowych idei. Zakres tych zadań powiększa się z roku na rok. A więc — sprawa mniejszości narodowych, mandatów kolonjalnych, kwestja rozbrojenia, kryzys parlamentaryzmu, zagadnienia ekonomiczne, finansowe i celne, a w ostatnich latach powszechny kryzys gospodarczy i rolniczy, wreszcie problematy socjalne, bezrobocie, zagadnienia czasu i warunków pracy, walka o ludzkie prawa czarnej ludności w kolonjach, o niedemoralizowanie jej alkoholem i narkotykami — oto naj-

ważniejsze tematy obecnych zainteresowań Unji i sprawy, domagające się zbiorowego, międzyparlamentarnego rozpatrzenia.

Jeśli bowiem ostatecznym celem Unji jest zapewnienie trwałego pokoju, to świadomość, że warunkiem trwałości pokoju jest sprawiedliwe rozstrzygnięcie kompleksu zaognionych spraw międzynarodowych, dyktuje Unji konieczność zajęcia się temi sprawami. Tempo jej prac jest jednak wolne, a wyniki nie są błyskotliwe. Uruchomienie tak olbrzymiego aparatu, jak łączna praca przedstawicieli wszystkich niemal parlamentów świata, spiętrza trudności, hamujące szybkość akcji.

Organizacja Unji jest następująca: parlamentarzyści poszczególnych państw tworzą w swoim kraju narodowe grupy Unji, prezesi tych grup tworzą razem Radę Międzyparlamentarną, która wyłania Wydział Wykonawczy. Siedzibą stałego Biura jest Genewa. Prezesem Unji jest obecnie Bonisson, prezydent francuskiej Izby Deputowanych, a sekretarzem generalnym, po Chrystjamie Langem, Norwegu, długoletnim i zasłużonym pracowniku na niwie pokoju, jest Leopold Boissier, Szwajcar, młody, zdolny i gorąco oddany sprawie. Oprócz tych władz administracyjnych Unja wyłania komisje do badania poszczególnych zagadnień, a grupy narodowe delegują do nich swych przedstawicieli. Mniej więcej co rok zwoływany jest, za każdym razem gdzieindziej, plenarny kongres wszystkich członków Unji, który rozpatruje materjały i projekty uchwał, przygotowane przez komisje.

Technicznym trudnościom pracy, przy tak rozległym i ociężałym aparacie, przypisać należy wolne jej tempo. Nikłość bezpośrednich, realnych i uchwytnych rezultatów tłumaczy się opinjodawczym wyłącznie charakterem uchwał Unji Międzyparlamentarnej. Unja nie posiada żadnej egzekutywy. Uchwały jej podawane są do wiadomości Ligi Narodów i rządów państw. Unja jest trybuną, z której wypowiadają się przedstawiciele wszystkich narodów swobodniej niż wypowiadają się przedstawiciele państw w Lidze Narodów, krępowani względami polityki bieżącej. Unja gromadzi i zestawia materjały, bada je, oświetla, teoretycznie pogłębia zagadnienia, szuka dla nich rozwiązań, formułuje ich projekty, podsuwa je, sugeruje, wpływa.

Konkretnie nikt nie może wskazać, że Unja przeprowadziła tę lub ową zbawienną reformę na świecie, ale nikt też obliczyć nie zdoła, ile jej myśli, ducha i wpływu przesączyło się do ustawodawstwa międzynarodowego lub wewnętrznego i znalazło wyraz w postanowieniach poszczególnych państw. Zahypnotyzowani realizmem politycznym, który legitymuje się bezpośredniemi korzyściami, lekceważymy zwykle i chrzcimy mianem romantyzmu politycznego teoretyczne wskazania i zalecenia na przyszłość i nie spostrzegamy nawet, że postulaty tego „romantyzmu" realizują się stopniowo, pośrednio i etapami dokoła nas z dnia na dzień. Często nie znamy nawet rodowodu tej lub innej myśli, wcielanej w życie.

Oprócz trudności technicznych Unja Międzyparlamentarna ma jeszcze do zwalczenia w ostatnich latach specyficzne trudności, wynikłe z przesilenia, jakiemu w wielu państwach podlega parlamentaryzm. Nie wydaje się jednak, aby ten kryzys ustrojowy poderwać miał istnienie pożytecznej instytucji opinjodawczej, jaką jest Unja, a potwierdza to żywotność, jakiej mimo złej konjunktury parlamentarnej daje dowody.

Coroczne jej kongresy zgromadzają jak dawniej setki uczestników, a zjazd tegoroczny — pierwszy w demokratycznej republice hiszpańskiej — ma bogaty porządek obrad; obok ogólnych debat nad sprawozdaniem politycznem sekretarza generalnego widzimy sprawę organizacji produkcji rolniczej i przemysłowej, kwestje demograficzne, problematy kolonjalne, zagadnienia bezpieczeństwa i rozbrojenia, wreszcie sprawę ewolucji systemu parlamentarnego.

St. Czosnowski

DROGI HISTORJI

PO MIĘDZYNARODOWYM KONGRESIE HISTORYKÓW*)

Do przeszłości już należą czasy indywidualnych wyczynów erudycji i rosnący wciąż zasób wiedzy i rozszerzający się zakres badań historycznych wymaga dziś zorganizowanej pracy zbiorowej i zagadnienie organizacji tej pracy coraz bardziej wysuwa się na plan pierwszy. Wystarczyło posłuchać np. sprawozdań C. G. Paluzziego o bibliograficznej kartotece historji rzymskiej lub E. Casanova (Rzym) o inwentarzach archiwów włoskich, by uprzytomnić sobie ogromne znaczenie zorganizowanej pracy kolektywnej. Notabene, sprawozdania te dają również miarę rozmachu, z jakim nauka włoska przystąpiła do rejestracji i udostępnienia materjałów historycznych. Rzecz dziwna, że obok faszystów podobny rozmach nadali analogicznej pracy uczeni sowieccy. Trzeba było wielkiej rewolucji francuskiej, by archiwa na podstawach naukowych zorganizować. Trzeba było rewolucji w Rosji i Włoszech, by je uczonym udostępnić. Czy aż rewolucji trzeba będzie Polsce, by uczonym otworzyć wrota zazdrośnie strzeżonych archiwów kościelnych i prywatnych, troskliwie ukrywających nieznane prawdy dziejowe lub dowody prawd przeczuwanych już, a jeszcze bezsilnych?

Kolektywy naukowe nie ograniczają się bynajmniej do prac technicznych, mających na celu dostarczenie materjału do badań; coraz szersze dziedziny zagadnień obejmują instytucje badawcze, których członkowie stawiają sobie za cel pracę nad elementami określonego zagadnienia celem jego syntetycznego ujęcia. Tak np. założona w r. 1927 „Arbeitsgemeinschaft zur Erforschung der nord — und ostdeutschen vor — und frühgeschichtlichen Wehranlagen" wykonała w ciągu 5 lat na szeroką skalę

*) *Przyp. Redakcji:* Sprawozdania dziennikarskie z Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych w Warszawie nie uwypukliły najistotniejszych i pod względem społecznym najdonioślejszych zagadnień, na tym zjeździe poruszanych. Nie ulegając w tym wypadku nakazowi aktualności dziennikarskiej i pomijając sprawy organizacyjne Kongresu, zamieszczamy artykuł, w którym czytelnicy nasi znajdą oświetlenie podstawowych zagadnień, które były przedmiotem referatów i obrad.

zamierzone prace archeologiczne, których wyniki już dziś zmieniły szereg dotychczasowych, opartych na pracy indywidualnej, hypotez archeologicznych.

Na jeszcze większą skalę stosuje pracę zbiorową nauka sowiecka: tutaj praca kolektywna drogą ankiet i szkolenia współpracowników wciąga do bezpośredniej twórczości naukowej masy robotnicze, których zbiorowem dziełem jest 50 zgórą drukowanych i około 100 przygotowywanych do druku opisów poszczególnych fabryk sowieckich, począwszy od ich założenia (często w w. XVII) aż do chwili obecnej, — dzieło ogromnego znaczenia zarówno dla historji gospodarczej i społecznej, jak i dla wytworzenia żywego i twórczego kontaktu między masami a naukami historycznemi, jak wreszcie dla stworzenia nowych kadr proletarjackich pracowników naukowych (ref. A. Pankratowej).

Ale historja, nauka najbardziej zespolona z istotą narodowości, nauka, której cel dziś jeszcze widzi się w wytwarzaniu określonych nastawień woli grup narodowościowych („einer jeden Nation zu ihrem historischen Selbstbewusstein zu verhelfen") jak mówił prof. G. Ritter (Fryburg) w swoim referacie, nawet w wykonaniu tego zadania musi stale przekraczać granice swego środowiska poto właśnie, by znaleźć ich potwierdzenie w antytezach środowiska zewnętrznego. Chocbyśmy więc tylko do tego zadania ją ograniczyli, tworzywo nauk historycznych warunkuje ich międzynarodowość i kieruje na drogi planowego współdziałania międzynarodowego. Na pierwszy plan wysuwa się tedy zagadnienie organizacji materjałów źródłowych. Zagadnienie — zdawałoby się — czysto naukowe. Tymczasem i na tem polu widocznie toczy się walka o starą, oddawna zdawałoby się oficjalnie uznaną (choć niezrealizowaną) zasadę: „Die Gedanken sind zollfrei", — skoro jeszcze w r. 1933 R. Fruin, naczelny archiwarjusz Holandji, stawia żądanie zrównania materjałów archiwalnych z bagażem dyplomatycznym i uniezależnienia obrotu kulturalnego od widzimisię biurokracji dyplomatycznej. Stara międzynarodowa *universitas litterarum* żąda uznania swych praw suwerennych. I tworzy swe stolice międzynarodowe — ośrodki dokumentarne (projekt C. Blocha), bibljografji międzynarodowych stosunków literackich (H. Tronchon, Strassburg) i t. p., swe herbarze (np. międzynarodowe tablice synoptyczne faktów literatury, Paul van Tiegham, Paryż); dąży nawet (epoka gospodarki planowej!) do zorganizowania kierowniczego centrum, któreby planowało szersze kompleksy zagadnień i całkowało dorobek prac indywidualnych, stawiając diagnozy, wyznaczając odcinki zagrożone i niewypełnione badaniami, a przerywające ciągłość syntezy historycznej (L. Cohen). Syntezy, ogarniającej horyzonty międzynarodowe, zespalającej zarazem dzieje narodów w historję powszechną (Universalhistorie). „W ten sposób historja powszechna... staje się najważniejszym środkiem wzajemnego porozumienia się narodów europejskich; nie powinna ona dopuścić, by narodowe dziejopisarstwo poszczególnych ludów, stojąc obok siebie bez żadnego związku, prowadziło do coraz głębszej wewnętrznej obcości" (G. Ritter, Fryburg — „Die Ausprägung deutscher und westeuropäischer Geistesart im konfessionellen Zeitalter"). Postulat ten musi znaleźć — i istotnie znajduje — swój wyraz organizacyjny w postulacie współpracy międzynarodowej, współpracy nie technicznej, lecz twórczej (K. Beyerle, Monachjum — „Ursprung und Ausbreitung der mittelalterlichen Freiheitsrechte"), której zadaniem byłoby nie współdziałanie techniczne, lecz zbiorowa budowa syntezy historycznej, ogarniającej kompleksy wielonarodowe (G. Zeller — „Pour une histoire des relations internationales").

Historja nigdy nie była nauką czysto poznawczą, wyniki jej stanowiły i stanowią zawsze element praktyki społecznej, wytwarzając społeczne nastawienie duchowe, t. j. wspólną określonej grupie ludzkiej ocenę pewnego zespołu faktów, ocenę, stanowiącą bodziec do przejawów woli zbiorowej. W okresie, gdy państwo — a więc najwyższy przedmiot historji — wyrażało się w monarsze, historja służyła do motywacji polityki dynastycznej, na podstawie prawa dynastycznego stwarzając t. zw. prawa historyczne do zaborów (np. historyczna motywacja zaboru Śląska przez Fryderyka Wielkiego).

W rękach państw historja stanowi narzędzie działania dla osiągnięcia celów politycznych — nie tylko poszczególnych doraźnych, ale wręcz przebudowy mentalności mas. Historja w ręku państw — to zwrotnica psychicznych nastawień mas, kierująca je na nowe (czy stare) drogi rozwoju. Czyż można czem innem, jak wyraźnym planem stworzenia imperjalistycznego nastawienia duchowego Italji wytłumaczyć ogromny nacisk Mussoliniego na rozwój historjografji włoskiej (a szczególnie badań nad historją Rzymu!) i jej rozmach, który nam unaocznił kongres obecny?

I naodwrót — niejedną tendencję w rozwoju badań historycznych określić możemy poprostu jako próbę intelektualnego przystosowania się społeczeństwa do imperatywów państwa, próbę nadania ideowych wartości starym, a zbyt już nagością faktu świecącym hasłom.

A więc prof. Brandenburg (Lipsk) konstruuje nowe pojęcie i nową historję imperjalizmu, by z Niemiec hitlerowskich zdjąć hańbę tego hasła i na wszelki wypadek nadać mu zarazem wartości pozytywne. Hitler wyciąga rękę po ziemie Polski i Sowietów? Herr Dr. Lüdtke (referat na zjeździe historyków niemieckich w Królewcu 9 b. m.) w imię „praw historycznych" germanizmu rewindykuje Polskę, Czechy, Siedmiogród i kawałek Rosji (tylko po Wołgę)? Według prof. Brandenburga, to nie imperjalizm — to tylko naturalne dążenie mocarstwa do powiększenia swego terytorjum. Imperjalizm — to idea, wiążąca w ciągu dziejów wyrosły ponadnarodowy twór państwowy w nierozerwalną całość duchową, idea ponadnarodowa, stojąca w przeciwieństwie do nacjonalizmu.

Więc imperjum rzymskie nigdy nie miało... nic wspólnego z imperjalizmem. Ani Prusy Fryderykowskie, ani Niemcy Wilhelmińskie. Ani — tembardziej Niemcy dzisiejsze. Na nie przecież nie spada zarzut imperjalizmu: „Przyłączenie bowiem kraju, zamieszkałego przez obcy naród, jest nieszczęściem, gdyż wprowadza do organizmu narodowego pierwiastki obce, plugawi krew germańską i niszczy ducha germańskiego" (Hitler — „Mein Kampf"). O nie! — Hitler nie tworzy ideologji państwa ponadnarodowego — „tylko pusta, ogołocona z nasienia ludzkiego ziemia jest nabytkiem stałym, który można na zawsze zachować" (tamże). Imperjalizm — to kościół katolicki, cesarstwo średniowieczne, Habs-

burgowie, no i — dzisiaj — przedewszystkiem Sowiety. Ale Niemcy? — Gott bewahre!

Nietrudno było prof. T. Wałek - Czarneckiemu wykazać błędy rzeczowe w zastosowaniu tej definicji, nietrudno było wykazać, że właśnie imperjum rzymskie pod tę definicję podpada. Ale nie w argumentach naukowych leżał punkt ciężkości dyskusji, — dyskusja historyków, dyskusja naukowa, w której ścierały się koncepcje, stanowiące kościec szeregu badań i dzieł naukowych, była poprostu exposé ustosunkowania się poszczególnych kierunków politycznych do zagadnienia imperjalizmu.

I tak, prof. Konopczyński, godząc się na to, że dążenie do ekspansji terytorjalnej nie jest imperjalizmem (!? — nazywa to pięknym wyrazem — „aneksjonizm"), wykazuje, że imperjalizm i nacjonalizm to nie antynomje, lecz pojęcia uzupełniające się nawzajem, że istotą imperium jest nie więź duchowa ponadnarodowa, lecz wzajemny stosunek zależności, w jakim pozostają narodowościowe elementy składowe państwa. Innemi słowy — imperjalizm w sensie ideowym to dążność jednego narodu do panowania nad drugim jako całością np. Rosja i Polska w w. XVIII, podczas, gdy programem pruskim jest w tymże czasie nie imperjalizm, lecz aneksjonizm. A więc — zamiast idei wiążącej — przemoc. Panowanie jednego narodu nad innemi. Z tego punktu widzenia nie jest imperjalizmem dążenie do ekspansji terytorjalnej celem ugruntowania „mocarstwowości" państwa. Źródeł tej koncepcji — rzecz prosta — szukać należy w programie obozu politycznego, którego prof. Konopczyński jest zwolennikiem. Wyraźnie sprawę postawili na gruncie dnia dzisiejszego uczeni sowieccy (Preobrażeńskij, Łukin), stwierdzając, że wszelkie próby „uduchowienia" imperjalizmu nie są niczem innem, jak tylko próbą usprawiedliwienia faktu przemocy i wyzysku, nadania mu wartości uczuciowych i stworzenia podstaw moralnych dla obecnego systemu ekspansji kapitalistycznej.

Rzecz prosta, powyżej zarysowany konflikt teoretyczny nie wyczerpuje całości momentów politycznych kongresu — jeżeli obszerniej omówiliśmy ten epizod, to dlatego, że uwydatnia on rolę interesów politycznych w metodach pracy historycznej.

Daleko częstsze są tu ataki i kontrataki nie na gruncie metody, co do której antagoniści mogą być w zgodzie najzupełniejszej, lecz faktów, stanowiących ewentualny materjał dowodowy dla konkretnych postulatów dnia dzisiejszego. Wspomnimy tu o komicznem oburzeniu prof. W. Mommsena (Marburg), małego potomka wielkiego historyka, gdy prof. Preobrażeńskij (Moskwa), na podstawie opublikowanych przez Sowiety materjałów opowiadał o tem, jak to Wilhelm i Mikołaj w serdecznych zwierzeniach projektowali wspólne wzięcie „za mordę" europejskiej kramoły i jak brzydko i tchórzliwie dyplomacja niemiecka wystawiła na sztych sprzymierzony z nią carat. Zrozumiałe to u zwolennika Wilhelma i Adolfa, niemniej, jak i u pewnej grupy historyków francuskich, którzy z wielką niechęcią słuchali, jak to republikańska i demokratyczna Francja finansowała w r. 1905 kontrewolucję i krwawą reakcję samodzierżawia, by kupić sobie jej przymierze przeciw Niemcom (Preobrażeńskij — „La guerre Russo — japonaise et son influence sur la formation de l'Entente").

(Dok. nast.). *Dr. Marek Wajsblum*

ODGŁOSY

ZJAZDY NAUKOWE

W stolicach Europy odbywają się obecnie liczne międzynarodowe kongresy naukowe. Mało o tych zjazdach wiadomo szerszej publiczności. Nawet o zjeździe lekarzy i przyrodników, odbytym w Poznaniu, prasa nasza dawała b. skąpe informacje. (W Warszawie tylko *Kurjer Poranny* zamieszczał obszerne i pouczające sprawozdania).

Jeżeli potrzeba dowodu, jak bezmyślnem jest życie świata, to i ten można przytoczyć: o każdej konferencji politycznej pisze się szczegółowo i we wszystkich pismach, a o kongresach naukowych — nieporównanie mniej, podczas gdy większość zjazdów politycznych to dziś bezpłodne manifestacje chaosu i rozkładu, kongresy zaś naukowe stanowią realny etap na drodze konkretnych zwycięstw genjusza ludzkiego. Hipertrofja polityki sprawia, że nauka, która w naszych czasach wkracza w okres najbujniejszego rozkwitu, która niesie ludzkości nowe dobra i wielkie możliwości zmian najśmielszych, budzi mniej zainteresowań, niż każda aktualna i przemijająca awantura polityczna.

Nie docenia się również i tej, tak doniosłej dziś okoliczności, że świat naukowy — mimo różne lokalne aberacje i psychozy, jak np. chwilowo w Niemczech — buduje jedną z najsilniejszych podstaw solidarności międzynarodowej.

Solidarność międzynarodowa wymaga poczucia wspólnego interesu, ale proces uświadamiania sobie tego interesu odbywa się z trudem i powoli, hamowany jest przez brzemię tradycyjne uprzedzeń. Wszelako narody, podzielone przez obyczaj, język, usposobienie i wszystkie odrębności kultury, przez wszystkie rywalizacje i przesądy, nie są podzielone przez odrębną narodową matematykę, chemję czy fizykę.

Powiedział wielki Pasteur: „Ojczyznę ma uczony, ale nie ma jej nauka".

Ludzie nauki różnych narodów pomagają sobie wzajemnie w pracy, której promieniowanie, owoce i skutki nie znają słupów granicznych.

BIEDNA WARSZAWA

Po urlopach, wakacjach i wywczasach — w kilku większych kawiarniach, restauracjach warszawskich — pełno ludzi. Co wieczór. Do późnej nocy. Gwarno tam i niekiedy wesoło.

Wobec tego mówi się w Warszawie:

— Jakoś kryzysu nie widać.

Albo:

— A jednak ludzie mają pieniądze.

Gdzie „nie widać" i jacy to „ludzie"? Warto się nad tem pytaniem zastanowić. Wnioski bowiem z terenu kilku większych kawiarń i restauracyj są cokolwiek — mówiąc delikatnie — powierzchowne, a raczej — mówiąc nieuprzejmie — bezmyślne, a właściwie — mówiąc całkiem niegrzecznie — bardzo głupie.

Te lokale wypełnia — powiedzmy już z przesadą — 5—6 tysięcy ludzi (mówimy o wszystkich lokalach droższych) i to przeważnie wciąż tych samych, którzy knajpują i tańczą całemi latami. Czyli: jeden na dwieście mieszkańców Warszawy je, pije i tańczy w jednym z droższych lokalów. Na pod-

stawie trybu życia jednej dwuchsetnej części ludności stolicy — wniosek, że „jednak ludzie mają pieniądze" i że „kryzysu nie widać"!

Bardzo wąski teren obserwacji! A opinje tego rodzaju są bardzo popularne — w bardzo biednem, smutnem, męczącem się mieście Warszawie.

Bo Warszawa to nietylko śródmieście, nietylko te kilka ulic, gdzie miasto — zresztą, pożal się Boże! — „szaleje", gdzie żyją t. zw. — co za określenie! — sfery towarzyskie.

W wielu sprawach społecznych mamy do czynienia z „opinjami", wysnutemi z wąskiego terenu śródmieścia i nie biorącemi pod uwagę olbrzymiej, przytłaczającej większości społeczeństwa.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

NARODOWOŚCI EUROPY

Najlepszy u nas znawca zagadnień narodowościowych, Leon Wasilewski, nie ustaje w pracy nad metodycznem gromadzeniem materjału, które na zagadnienia te rzucają najsilniejsze światło. W wielkiej mozajce narodowościowej niełatwo się zorjentować. Nie wystarczą tu takie lub inne zasady i wskazania. Trzeba się umiejętnie posiłkować przebogatym materjałem, żeby nie popaść w fałszywe konstrukcje abstrakcyjne. Trzeba też dobrze badać nowy układ stosunków narodowościowych, biorąc wciąż pod uwagę nietylko status quo chwilowe, ale i czynniki zmienności w tej dziedzinie.

Nakładem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych ukazała się nowa, niezmiernie cenna praca Leona Wasilewskiego p. t. „Skład narodowościowy państw europejskich" (Skład główny: Kasa im. Mianowskiego, Warszawa, Pałac Staszica). Brak takiej właśnie pracy dawał się silnie odczuwać w naszej literaturze politycznej: brak jasnego, przejrzystego materjału cyfrowego.

Korzystając z najpoważniejszych źródeł statystycznych, które dają cyfry możliwie najbliższe prawdy, Leon Wasilewski sporządził niezbędne skróty statystyczne narodowościowego zaludnienia Europy, t. j. w 35 państwach, ponadto zaś — 38 tablic porównawczych, które uwidoczniają strukturę językową państw europejskich oraz doskonałą mapę narodowościowo-językową. Praca ta w wysokim stopniu ułatwia badanie zagadnień narodowościowych, które przecież na tylu terenach Europy znajdują się w stanie zapalnym.

Słusznie zaznacza Wasilewski, że myśl, jakoby rozwój stosunków społeczno - ekonomicznych miał pochłonąć bez reszty problemy narodowościowe, okazała się najzupełniej złudna, bowiem liczba tych problemów i stopień ich natężenia ustawicznie rośnie. „Przed wojną uważano, że sprawy narodowościowe są zjawiskiem, właściwem tylko Wschodowi Europy — od Rosji poprzez Austro - Węgry po Bałkan. Tymczasem ostatnie lata zupełnie obaliły to mniemanie. W Belgji wzmaga się i przybiera coraz ostrzejsze formy ruch flamandzki, Hiszpanja porewolucyjna przystępuje do załatwienia żądań szeregu ruchów narodowościowych z katalońskimi na czele. Nawet Francja — ta najbardziej typowa „une et indivisible" ma swoje kwstje narodowościowe. Zdziwiona Europa dowiaduje się nietylko o „separatystach" w Alzacji — Lotaryngji, ale i o zamachu terorystycznym na pomnik jedności Bretanji z Francją. Płoną sztandary państwowe — duńskie w Islandji, angielskie w Szkocji. Nie ostała się przed rozwojem kwestji narodowościowej potężna Wielka Brytanja, a Związek Socjalistycznych Republik Rad, który udostępnia naukę komunizmu najdrobniejszym szczepom i ludom w ich językach rodowitych, musi walczyć z dążnościami odśrodkowemi wszystkich swych „kresów" — od Karelji po Kaukaz i Turkiestan.

Zarówno wewnętrzna sytuacja narodowościowa szeregu państw, jak i dzisiejsze problematy polityki międzynarodowej, z tą sytuacją związane, świadczą wymownie o tem, że wielka ta sprawa wciąż jeszcze znajduje się na drogach, nie wiodących ku ładowi i harmonji. Trudności, konflikty i walki piętrzą się ustawicznie, pogłębiając chaos życia politycznego Europy.

Nie trzeba wyjaśniać, jak doniosłą dla państwa polskiego jest kwestja polityki narodowościowej, dotychczas chwiejnej, nieustalonej, działającej wyłącznie pod znakiem paljatywów.

W tych warunkach nowa praca Leona Wasilewskiego, jak i wszystkie jego prace poprzednie z tej dziedziny, oddać może poważną usługę polityce świadomej i odpowiedzialnej.

M. Czarnowski.

PLAGA SNOBIZMU

Wiele objawów próżności, pychy, małostkowości, które rażą ludzi światłych, myślących, obdarzonych rozbudzonem życiem wewnętrznem, duchowem — spotkało się z ostrą krytyką w książce p. Ireny Gałęzowskiej p. t. „Ferment snobizmu"*). Jest to studjum krytyczne, ściślej — próba analityczna, poświęcona zarazie snobizmu, tą „plagą Polski, jej śmiesznością, jej głupstwm i jej kompromitacją w oczach złośliwych, a oświeconych ludzi". P. I. Gałęzowska próbuje ustalić, że „wadą narodową nie jest prywata, ani swawola, ani nierząd — lecz snobizm" (str. 23). Snobizm ten widzi wszędzie, gromi go, przypala rozpalonem żelazem drwiny, ironji, ściga go wszędzie, przetrząsa wszystkie warstwy narodu i wszystkie dziedziny życia w poszukiwaniu szkodnika. Czyni to z tą samą pasją, z jaką rozsierdzony gospodarz rozrzuca widłami warstwy snopków w stodole w poszukiwaniu gniazda gryzoniów, niszczących mu ziarna dorodne.

Chwyta objawy głupoty i pychy, pieczętując je jako snobizm rodowy, pieniężny, partyjny, duchowy, naukowy, towarzyski, lewicowy, prawicowy, arystokratyczny i t. d., uważając, że to snobizm właśnie „wykopał przepaść między szlachtą a ludem, przepaść, której nie wypełniła sielankowa chłopomanja, „przewrócił szlachcie w słabych głowach i zabił w nich zdolność myśli i entuzjazm do pracy, pozostawiając tylko wyobraźniowe mrzonki. On obezwładnił mieszczaństwo, podciął inteligencję i rozpanoszył niepomiernie magnatów. Winy jego są tak wielkie, że niema wyrazu tak mocnego, by go oskarżyć, napiętnować i zohydzić" (str. 22).

P. I. Gałęzowska umieszcza snobizm w najbliższem pokrewieństwie z pychą, „jest tylko od niej, po ludzku mówiąc, bezwstydniejszy — bo się nie boi

---

*) *Irena Gałęzowska:* Ferment snobizmu. Studjum krytyczne. Wydawnictwo Ludwika Fiszera. Warszawa — Łódź — Katowice.

śmieszności i kompromitacji, a także mniej indywidualny, bo zawsze wplątany w tysiące kombinacji i względów socjalnych (str. 19), ale przytem jest gatunkiem pychy, może najprzykrzejszym dla bliźnich, bo zbiorowym i tak wkorzenionym w życie, że przybiera pozory słuszności i powołuje się na dobro społeczne, na tradycje narodowe, a nawet na Pismo św." (str. 20).

P. I. Gałęzowska przytacza mnóstwo przykładów snobizmu, usiłując dowieść, że tkwi on i rozwija się niezależnie od czasu i miejsca, bez względu na formy ustroju, daje się odczuć zarówno w stosunkach feodalnych, kapitalistycznych, jak i komunistycznych, powstaje nawet złudzenie, że snobizm jest jakąś nieodłączną cechą pewnego gatunku ludzkiego albo jakąś złowieszczą siłą transcendentalną, silnie i ujemnie oddziałującą na duszę człowieka. Nawet komuniści łudzą się mocno, „twierdząc, że w zrównanej ludzkości nie będzie miał (snobizm) racji, ani możności bytu. Na bladych pozostałościach, na iluzorycznych szczeblach jakiejkolwiek hierarchji wybuduje on system nowy, różniący się od starego pozornie odświeżoną szatą" (str. 78).

Mimo to, że autorka ma świadomość potrzeby sklasyfikowania faktów, dowodzących snobizmu, nie czyni tego jednak w sposób dość jasny i dostateczny. Tak — objawy sybarytyzmu pospolitego lub zamiłowania do wygód wysokiej klasy podciąga pod miano snobizmu, jak np., że „w Oxfordzie każdy student musi mieć swoje mieszkanie, swoje meble, swój automobil i t. d." (str. 28).

Pojęcie snobizmu — zdaniem naszem nie nastręcza szczególnych trudności: stanowi on przejaw psyche społecznej, który zwłaszcza dziś jest bardzo rozpowszechniony. Snobem nazywamy człowieka, który pragnie wyróżnić się duchowo z tłumu, nie mając na to żadnych danych i kwalifikacji osobistych. Chce więc on mieć np. najświeższe poglądy literackie, najlepsze przekonania filozoficzne, najsubtelniejsze gusta estetyczne i t. p.

W życiu materjalnem, praktycznem snobizm polega na chęci wyróżniania się z pobudek próżności ubiorem, urządzeniem mieszkania, zbiorami, kosztownościami i t. d., ale snobizm w tej dziedzinie posiada charakter jednostkowy przeważnie, indywidualny, gdy tymczasem snobizm duchowy szerzy się często w sposób masowy, nagminny, przybierając formy zarazy społecznej. Snob, chcąc być przedmiotem wyróżnienia i podziwu, chwyta ostatnie zdobycze wiedzy, najnowsze wyrazy sztuki i przyswaja je sobie powierzchownie, czysto zewnętrznie, wbrew naturalnym skłonnościom. Ale dlatego, że przyswajanie to jest czysto zewnętrzne, sztuczne i nie odpowiada jego charakterowi właściwemu — łatwo doprowadza do przesady. Zdarza się nawet często, iż snob nie rozumie tyrad przez siebie wygłaszanych i nie może zdać sobie sprawy z powtarzanych rzekomo własnych przekonań. Najłatwiej jednak snobizm szerzyć się może w tych dziedzinach ducha i myśli, gdzie istnieje wiele możliwości sądu i tworzenia, jak np. w filozofji, pedagogji, literaturze i t. p.

Snobizm z łatwością, połączoną z brakiem odpowiedzialności przerzuca się od jednego bieguna poglądów do drugiego, sam będąc wytworem hypnotycznego naśladownictwa i mody — zmienia z dnia na dzień stanowiska i punkty widzenia, jak krawaty lub kołnierzyki. Nie tak dawno znany był wielki kult dla nauki, potem nagle znana też była pogarda dla tejże nauki, ponieważ „nauka zbankrutowała". Pamiętamy również, jak w epoce podziemnych walk wolnościowych liczne zastępy filistrów, tchórzów i snobów przyznało się naraz do idei socjalizmu, nie znając i nie rozumiejąc doktryny i nic nie robiąc dla ruchu, — tylko bezmyślnie powtarzając w salonach i kawarniach litanje bzdurstw, frazesów, oraz tworząc mnóstwo urojonych zdarzeń, prześladowań, przygód. Również pamiętamy, jak nagle nadciągnęła nawałnica kultu dla Przybyszewskiego, którego snobi, albo zgoła nie czytali, albo nie rozumieli zupełnie, jednakże mówienie o Przybyszewskim należało chwilowo do dobrego tonu. Przez jakiś czas znów narastała fala nitscheanizmu, jak powódź szerzyła się maniera mówienia o nadczłowieczeństwie, rósł do olbrzymich rozmiarów kult dla Nietschego. Filozof ten nie miał zapewne w całej swojej ojczyźnie tylu znawców i wielbicieli, ilu ich było w kawiarniach, w salonach parwenjuszowskich i plutokratycznych w jednej tylko Warszawie.

Snobizm, jako jeden z przejawów psyche społecznej, psyche tłumu lub eleganckiego motłochu — jest skutkiem sił sugestywnych, biorących swój początek u źródła autorytetów duchowych, moralnych, fizycznych. Są to te same źródła, skąd zaczynają się wszelkie zarazy społeczne, z modami włącznie.

P. Irena Gałęzowska sądzi, że „tylko pewien *modus vivendi* czysto moralny, oparty na prawdzie i zrozumieniu rzeczy istotnych może obronić przed snobizmem; żadna forma ustroju nie wyklucza go absolutnie" (str. 96), w końcu zarzucić musi linkę ratunkową u podstawy wiary w wieczne zasady chrześcijaństwa, które „może jedynie obronić od snobizmu" (str. 100).

Książka p. Ireny Gałęzowskiej wre namiętnościami, płomiennem pragnieniem zwalczania zła, próżności, przesądów, pychy, małostkowości, które swoje ognisko koncentracyjne znajdują w snobiźmie. Bogactwo treści świadczy nadto o wielkim trudzie myśli, umysłowej kulturze autorki założenie zaś samej rzeczy — o wzniosłości jej uczuć.

Henryk Lukrec

PRZYCZYNKI DO SPRAWY REFORMY OBYCZAJÓW

POŻYTECZNA INSTYTUCJA

Do instytucyj, przeciwko którym skierowane są ataki najbardziej nieuczciwe i oszczercze, należą w czasach ostatnich Poradnie świadomego macierzyństwa. Przypisuje się im zamiary i cele nieistniejące, szerzy się o nich wiadomości fałszywe, przemilcza się prawdę. Ludzi, prowadzących te instytucje, szkaluje się nieustannie. Kłamstwo siedzi tu na cynizmie i demagogją pogania.

Jakże ta sprawa wygląda w rzeczywistości?

W tych dniach odbyło się otwarcie nowego lokalu (przy ul. Leszno 23) Poradni świadomego macierzyństwa, prowadzonej przez Sekcję regulacji urodzeń Robotniczego Tow. Służby Społecznej. Podajemy tu informacje najbardziej wymowne ze sprawozdania, złożonego przez p. dr. Budzyńską-Tylicką.

W pierwszych czasach istnienia Poradni (otwarta została 27 października 1931 r.) zgłaszające się tu kobiety były przez wrogą propagandę wprowadzone

w błąd i w ciągu pierwszych kilku dni zgłosiło się blisko 200 kobiet, a z tego 115 po... przerwanie ciąży, czego, rzecz prosta, odmówiono, ponieważ, jak głosi napis w poczekalni „zadaniem Poradni jest zapobieganie, a nie przerywanie ciąży". Potrzeba było dłuższego czasu, żeby mylną opinję zwalczyć: jeszcze w ciągu pierwszej połowy 1932 r. większość zgłaszała się o spędzenie płodu, w drugiem półroczu 1932-go już tylko 25%, obecnie zaś w rzadkich tylko wypadkach zjawia się kobieta w ciąży — po to jedynie, by się dowiedzieć, że Poradnia ciąży nie przerywa.

Pojęcie „świadomego macierzyństwa" jest w tej instytucji rozumiane zgoła inaczej, niż twierdzą jej wrogowie: Poradnia ułatwia zapobieganie ciąży w tych środowiskach, gdzie nędza uniemożliwia normalne utrzymanie dziecka, lub gdzie warunki nie pozwalają kobiecie stać się matką. Bynajmniej, natomiast, nie szerzy zapobiegania ciąży we wszelkich warunkach, jak twierdzą oszczercy. Najlepszym dowodem jest tu *leczenie bezpłodności*. W chwili obecnej w Poradni tej leczy się 125 kobiet na bezpłodność. O tem, oczywiście, nie poinformuje swoich czytelników prasa klerykalna. Nie napisze prawdy, że Poradnia pomaga zarówno kobietom, których warunki nie pozwalają na macierzyństwo, jak i tym, które chcą zostać matkami.

Poradnia, siłą rzeczy, zwalcza dwie plagi: śmiertelności niemowląt i poronień. Na 2917 kobiet, które korzystały z Poradni w r. 1932 było urodzeń 5170, z czego 833 zgonów niemowląt. Wszystkie niemal zgony — w warunkach nędzy i jej nieodstępnej towarzyszki — choroby. Ci, którzy twierdzą, że Poradnie powstrzymują czy zmniejszają naturalny przyrost ludności, pomijają zawsze — a często świadomie — tę decydującą tu pozycję: śmiertelność niemowląt, której odsetek wynosi w całej Polsce 20,3. Największą śmiertelność dzieci mamy, naturalnie, wśród proletarjatu. Tam płodzenie dzieci nic jeszcze nie mówi o przyroście ludności, trzeba zawsze pamiętać o tem, ile tych dzieci umiera, oraz ile wegetuje w stanie cherlactwa.

O tem pamiętając, stwierdzimy, że działalność Poradni przyczynia się do uzdrowienia i wzmocnienia organizmu społecznego.

Na 2917 kobiet, które zgłosiły się do Poradni w r. 1932-gim, poddawało się przedtem sztucznym poronieniom 1.425 kobiety, w tem jednokrotnie — 592 kobiety, 2 razy — 347, 3 razy 220, 4 i 5 razy 218 kobiet, po 10 sztucznych poronień — 19 kobiet. Była i taka, która ma za sobą 30 sztucznych poronień w 35-tym roku życia! Od lat kilkunastu nieustannie niszczyła swój organizm, nie chcąc rodzić dzieci w warunkach istotnie okropnych.

O tych warunkach najlepiej świadczy statystyka mieszkaniowa, sporządzona przez Poradnię. Na ogólną ilość kobiet, które się zgłosiły po poradę, tylko 50% mieszka po jednej osobie w jednej izbie, 254 kobiety — po 3 osoby w jednej izbie, 201 kobiet — po 5 osób, 173 kobiety — po 6 osób w jednej izbie, 173 — ponad 6 w jednej izbie! Sublokatorek, przeważnie mieszkających „kątem" — 178.

Kto zastanowi się nad powyższemi danemi, nie może być przeciwnikiem Poradni świadomego macierzyństwa. Trzeba tylko *znać sprawę* i mieć sumienie ludzkie, żeby zrozumieć i ocenić, że akcja ta zasługuje na poparcie.

FILM

»ZIEMIA PRAGNIE« W KINIE »ARENA«

Kinematografja sowiecka zaprzęgnięta jest do dzieła „budownictwa socjalistycznego" i na froncie piatiletki pierwszej, a obecnie drugiej — spełniła i spełnia wybitną rolę społeczno-polityczną. Każdy film ma określone zadanie wychowawcze czy propagandowe. Film radziecki zagarnął w kręgi swych wpływów miasto i wieś, szkołę i koszary.

„Ziemia pragnie" należy do kategorji filmów typowo „pionierskich". Filmy tego rodzaju posiadają szablonowy już niemal scenarjusz. „Ziemia pragnie" jest pomniejszoną edycją „kulturfilmu" — „Turksib". Tematem i ideą obrazu „Ziemia pragnie" jest — nawodnienie wyschniętej Turkmenji. Film nie ma za zadanie wzruszać widza losami bohatera. Umacnia i narzuca pewną ideę, każe przejąć się jej realizacją. W „Turksibie" ideą tą była budowa wielkiej linji kolejowej, łączącej Turkiestan z Syberją. W filmie „Ziemia pragnie" jest nią — odwrócenie biegu rzeki ku zamieszkałym, bezwodnym przestrzeniom. Film pochwala zespołową pracę entuzjastów — „udarników", a jednocześnie spełnia zadanie propagandowe i kulturalne. Ustala dystans i różnice, dzielące Rosjan carskich od Rosjan radzieckich, likwidując w umysłowości i psychice Turkmena nienawistny spadek przeszłości. Jednocześnie przeprowadza kampanję przeciw zabobonom i przesądom. Bezskuteczne, długotrwałe modły do Ałłaha — a rezultat planowej pracy pionierów, oto prymitywny kontrast o nastawieniu antyreligijnem. Równie prostem przeciwstawieniem uplastycznia obraz rażący dystans, który oddziela wielkiego posiadacza Amanbeja od głodnej i spracowanej rzeszy nędzarzy.

Montaż filmu jest przejrzysty, prosty, przystosowany do nieskomplikowanej umysłowości mieszkańca Dalekiego Wschodu. Sowieckie filmy, przeznaczone dla wsi, mają odrębny charakter nietylko tematyczny, lecz i formalny. Chodziło reżyserom o film, który przyciągnąłby człowieka wsi i mógł być przeżeń bez trudu przyswojony. Chłop, a szczególnie chłop-analfabeta nie ma żadnego niemal wyrobienia wzrokowego, żadnej wprawy wizualnej. Nie potrafi przyswoić sobie, ani należycie odczuć tempa zdarzeń, rytmu epizodów, który mieszkaniec miasta uważa za normalny. Jest dlań za szybki. Umysł chłopa z trudem i powoli chwyta myśli i wypadki. Oko jego nie jest przyzwyczajone do filmowego dynamizmu. Oko mieszkańca miasta, nawet gdy rzadko patrzy na ekran, łatwiej przystosowuje się do szybkiego następstwa obrazów filmowych, dzięki wprawie, jaką nabył przy kontakcie z ruchem maszyny lub ze środowiskiem ruchu ulicznego. Chłop od dzieciństwa ogląda spokojne, nieruchliwe pejzaże: rzeczywistość w zestawieniu z miejską — statyczną. Rytm montażu w filmach, przeznaczonych dla wsi jest powolniejszy. Przykładem takiego montażu jest film „Ziemia pragnie". Następstwo scen przejrzyście tłomaczy bieg wypadków, a uporczywe powtarzanie pewnych obrazów (spękana, wyschnięta ziemia) utrwala w umyśle widza leitmotyw tematyczny („ziemia pragnie" — wody). Prostota środków daje doskonałe wyniki. Jak wyraźną i przekonywującą wymowę posiadał montaż końcowych scen. Turkmeni modlą się o wodę. (Posuchę uosabia opętana prag-

nieniem, świetnie pomyślana postać tarzającego się w piachu Turkmena). Postaci modlących się, zbitych w bierną, wycieńczoną gromadę — wznoszą ręce ku niebu. Sceny modlitwy przełamane są zdjęciami końcowych przygotowań pionierów do wysadzenia wykopu w powietrze. Dynamit podłożony. Ogień biegnie już wzdłuż lontu. Pionierzy, ramię przy ramieniu, jakby wrastają śmiałemi postaciami w niebo. (identyczne zdjęcie kątowe, jak w epizodzie modlących się Turkmenów). Zestawienie tych fragmentów, po którem następuje wybuch i odwrócenie biegu rzeki, demonstruje daremność modlitw do Ałłacha, który nie zsyła deszczu, podczas gdy zespołowa praca łąk i łopat dała pustyniom wodę.

Film „Ziemia pragnie" zagrany jest przez aktorów niezawodowych — Turkmenów i „pionierów". Bezpośredniość i prostota ich ekspresji jest znacznie cenniejsza i mocniejsza od zrutynizowanej gry t. zw. gwiazd.

»POŻEGNANIE Z BRONIĄ« W KINIE »FILHARMONJA«

Przeróbkę filmową powieści „Pożegnanie z bronią" reżyserował Frank Borzage, twórca nastrojowych filmów z Charles Farrellem i Janet Gaynor. Obrazy jego mają zdecydowaną i oryginalną fizjonomję: są wybitnie malarskie, a dziedziną, w której najmocniej ujawnia się talent ich twórcy — jest erotyka. Epizody miłosne w reżyserji Franka Borzage'a nie przekraczają nigdy granic pełnej umiaru subtelności. W filmie „Pożegnanie z bronią" jest ryzykowna z punktu widzenia reżyserskiego scena miłosna w ogrodzie szpitala, gdy sanitarjuszkę Katrin, która oddała się poznanemu przed godziną oficerowi, ogarnia depresja. Widzi ona w przeżyciach swoich jedynie żądzę, która szybko gaśnie, grę zmysłów, sztucznie zgłuszonych ascezą wojenną. Scenę tę, która groziła brutalnością i niesmaczną szarżą, ocaliła dyskretna i intuicyjnie wstrzemięźliwa reżyserja, która dłonią kochanka przesłoniła rozwarte w krzyku usta Katrin, a w jej śmiechu uczyniła dosłyszalną rozpacz i powstrzymywane łkanie.

Akcja filmu jest nikła i blada. Mimo to każdy niemal fragment taśmy przesycony jest szczególną atmosferą, którą Frank Borzage stworzył wokół miłości, zrodzonej w rozgwarze wojennym, wśród przyspieszonego biegu zdarzeń, sprzyjających narodzinom uczuć i skazujących je na rychły uwiąd. Atmosfera szlachetnej wzniosłości przetrwała do końcowej sceny śmierci Katrin i w tym dopiero momencie grzeszy przeczuleniem i sentymentalną szarżą.

Najcenniejszym walorem filmu Borzage'a jest owo wysublimowanie odruchów i pragnień miłosnych, przestrzeganie subtelnej dyskrecji, którą nieznaczny tylko rozstęp oddziela niekiedy od efektu brutalnego (scena nocnej wizyty sanitarjuszki u rannego).

Wojna jest w filmie „Pożegnanie z bronią" tłem, spełnia raczej rolę dekoracyjną. W epizodach batalistycznych nie starał się Borzage o nowe, oryginalne ujęcia, niepodobna jednak pominąć tu wspaniałej fotografji, szczególnie zaś — doskonałych zdjęć nocnych.

Malarska fotografja, która była nieodłączną cechą filmów Borzage'a („Siódme niebo", „Anioł Ulicy") wspięła się w „Pożegnaniu z bronią" na nowy szczebel artystyczny. Uwolniona od supremacji malarstwa, fotografja osiągnęła tu samodzielną, własną wymowę, że wymienię tylko przemglone zbliżenie twarzy Gary Coopera, rozświetlone ogniem papierosa.

Helena Haynes przypomina do złudzenia Liljanę Gish, i to nietylko powierzchownością i charakterystyczną asymetrją oczu, lecz i gatunkiem gry — skupionej, zwartej. Rola Gary Coopera stanowi wybitne i nowe osiągnięcie w jego karjerze artystycznej. Jego skala odtwórcza objęła w „Pożegnaniu z bronią" nową postać: zawadjackiego i zarozumiałego pogromcy serc z pierwszej części obrazu — i złamaną, tragicznie rozbitą postać kochanka w końcowej części filmu. Scena modlitwy o ocalenie Katrin, to dowód niewyzyskanych dotychczas możliwości talentu Gary Coopera. *J. Szpecht*

CHAMSTWO

Pisał Feliks Brodowski w „Mojej biografji":

„Wszelki egoizm, wszelka nietolerancyjność, wszelka przemoc nad ciałem i duchem mieści w sobie pierwiastki chamstwa, które niemniej wstrętne i w zewnętrznych formach współżycia, w postaci nieokrzesania i gburostwa. Jest chamstwo wszędzie, gdzie niema dobra. Jest widmem złowrogiem, zamieszkującem w pustce, lecz niemniej groźnem, gdyż jeśli pozwolimy na najmniejsze skurczenie dobra, napłynie w to miejsce pustki — ciemność i chłód. Ponieważ umie się ukryć i przystrajać, więc walka z niem jedna — światło. Patrzmy w swoją duszę, czy tam go niema, a potem wyświecajmy go zewsząd — zrywajmy togi sędziów, profesorskie oznaki, mnisie kaptury, świętokradzkie krzyże, wołając wielkim głosem — patrzcie, co tam było. Bo chamstwo nie zasługuje na przebaczenie i litość i jako przeczenie dobra nie może być cierpiane. Chamstwo godzi zawsze w wolność myśli, godzi przedewszystkiem w wasze „ja", nienawidzi waszego „ja" i musi je kopnąć w ten lub inny sposób".

Ma jeszcze chamstwo sto innych odmian i sto sposobów działania na wszystkich szczeblach drabiny społecznej. Na szczeblach najniższych, jakkolwiek groźne, to jednak najmniej odpychające, bo pierwotne, proste i bez maski. Im wyżej, tem gorsze, a na szczytach — najbardziej plugawe. Tu bowiem dopiero zbroi się we wszystkie środki powierzchownej i złudnej kultury, spekulując, oszukując, wprowadzając w błąd. Mami strojem, słowem, gestem.

Tak, najgroźniejsze chamstwo grasuje na szczeblach wysokich.

Chamstwem jest zarozumiałość, czyli bezczelna, pełna tupetu, bojująca głupota.

Chamstwem jest wyniosłość, czyli nieszanowanie człowieka.

Chamstwem jest uniżoność wobec tych, od których się zależy i bezwzględność w stosunku do tych, którzy od nas zależą.

Chamstwem jest snobizm, bowiem snob, pragnąc uchodzić za coś „wyższego", sam we własnej świadomości uznaje się za istotę niższą.

Chamstwem jest żądanie uczuć.

Chamstwem jest wszelki fanatyzm.

Wielostronne, wszechobecne, zaczajone lub panoszące się, chytre i przebiegłe, handlarskie lub patetyczne, jest chamstwo obrzydliwością świata, obrazą człowieczeństwa i plagą nierozumu.

Widz

NA DRODZE SZCZĘŚCIA

Z MOICH WĘDRÓWEK*)

Aby mój latosi urlop wypoczynkowy wykorzystać na zdrowem i świeżem powietrzu, poświęciłem sobie cokolwiek czasu i udałem się na wędrówkę, która mi nigdy nie wykazywała prostej drogi, ani celu, gdzie i kędy mam się udać, tylko z temi myślami — aby poznać świat i ludzi tu na Kujawach. A już dawno było mówiono, nie jest dobrze żyć jednemu samemu tu na ziemi; chodzę z miejsca na miejsce, mijam folwark, dochodzę do wioski i dalej z jednego miasteczka do drugiego. Dzień był bardzo ciepły, piękny i pogodny, to srebrne żyto w kłosach dawało mi obraz ślicznej natury, ta śliczna złota pszenica pokrywała nieomal całą ziemię kujawską. Zdawało mi się jakby te fale boskiej natury mi całe życie odnowiły. W drodze przychodzą mi rozmaite myśli mego dawniejszego życia. Ptaszki prowadzą mnie naprzód, fruwają z jednego drzewa na drugie i tak mi skazują drogę, którą mam się udać. Pracujący ludzie na roli spoglądają na mnie, życzę im szczęścia i mówię „Szczęść Boże". „Bóg zapłać" dostawałem zwykle odpowiedź.

Wychodzę za jedno miasteczko położone na Kujawach, spoglądam naprzód i pragnę sobie pozostawić mury tego miasteczka i biegać wśród żywej boskiej natury. Zaledwie mijam te ostatnie kamienice, już zdala widzę wiewające się na porozciąganych sznurach od jednego drzewa do drugiego sztandary rozmaitych kolorów. Z wielkiem zadziwieniem spoglądam na nie, byłem w myślach, że tam spoczywają harcerze, albo jakie inne stowarzyszenie, przybliżam się coraz bliżej, widziałem, że tam jest powieszona zwykła bielizna. Byłem zdania, że zapewno tam jest taki zwyczaj i bielizna będzie tam tak suszona. Naraz widzę — to jakby śląski dworzec pod gołem niebem przed sobą. (Bo ile razy dawniej mijałem Berlin i zwiedziłem śląski dworzec, zawdy się na nim znajdowały gromady naszych rodaków, którzy się znajdowali na wędrówkach).

Przyglądam się tym nieszczęśliwym rodzinom, gdy naliczyłem: 7 mężczyzn a 8 niewiastów, nie pokonałem policzyć tych malcy pomiędzy tą gromadą; myśląco stanąłem wryty w ziemię, jakby się zamówić, aby być przyjęty do tej wielkiej wędrującej z miejsca gromady, która po długiej i ciężkiej podróży wypoczywała.

Dochodzę bliżej, wesoło spoglądam na nich i mówię: „Szczęść Boże, towarzysze i towarzyszki". „Bóg zapłać". Podaję rękę kolejnie małemu i dużemu. Po przywitaniu wszystkich obecnych, mówię: kochane państwo, muszę swoją tajemnicę zdradzić i wam obznajmić, w jakim celu wam tu przeszkadzam, co wam możliwie jest nieprzyjemnie?

Odzywają się niewiasty:

— Nam jest wszystko przyjemnie.

Zaczynam im swoje bolączki wypowiadać w tych słowach:

— Przez pół roku wędrowałem, jak i wy dzisiaj wędrujecie i szukacie pracy, tak i ja tej pracy szukałem. Miałem przy sobie młodą towarzyszkę blondynkę, którą kochałem ponad własne życie; było mi to młode dziewcze tak miłe, że mi nigdy już nie może wyjść z myśli. A niedaleko tu stąd w jednem miasteczku była mi praca wskazana, musiałem się przez dłuższy czas w jednem biurze zatrzymać i przy tej sposobności utraciłem swoją mi najmilszą kochankę. Teraz jej szukam i dopytuję się, gdzie tylko widzę wędrownych, ale wszystkie moje trudy są daremne...

Spoglądają na mnie moje towarzysze i towarzyszki i żaden nie był w stanie mego serca pocieszyć. Spoglądają na mnie, ja na nich, położyłem się pomiędzy niewiasty i mówię: Błogosławiony między niewiastami.

Były one powyciągane na tej zielonej trawie, jak na najwygodniejszej leżance, pomimo woli po raz pierwszy w tej nowej gromadzie musiałem spoglądać na kolana tych niewiastów, a zwłaszcza te młode niewiasty miały takie krótkie suknie, że im do kolan nie starczyły. Byli zatrwożeni wszyscy nieomal moją bolączką i mojemi tak ciężkiemi cierpieniami, wątpili nieomal wszyscy i na mały moment nastąpiła cisza, tylko dzieci jak zwykle cokolwiek hałasu robiły. A wreszcie odzywa się jedna niewiasta, mogła ona mieć jaką trzydziestkę na swoim registrze i mówi:

— Niedaleko miasteczka M. spotkali my jedną blondynkę, która już się prowadza z innym, a gdy my ją zamówili, to ona nam to samo powiadała, co tu pan opowiadasz. A niech się o nią pan tak nie kłopoce, bo ona o panu dzisiaj już żadnych myśli nie ma.

— Czy to jest faktem co pani mówi o tej blondynce?

— Tak jest, to mi pan może wierzyć.

Zatrwożyłem się i małą chwilę milczałem i potem mówię:

— Niech jej Bóg z nieba wysokiego poszczęści i życzę jej jak najwięcej powodzenia z tym innym kochankiem. Ale coprawda bardzo żal mi jest tego mi tak miłego dziewczęcia; było to tak śmiałe, odważne, wymowne, i w każdej rozpaczy mnie poradziło rozweselić i pocieszyć; postarało się ono o żywność sama dla się i dla mnie, zawdy była wesoła, — żyłem z nią naprawdę, jak chłop z własną żoną i to całe szczęście dla mnie jest zgubione. Już zapewno na taką, jak ta była więcej nie natrafię?

Małą chwilę zaczęli nad mojemi słowami milczeć. Odzywa się ta niewiasta, która była pomiędzy niemi nieszczęśliwa i nie miała towarzysza, aby jej

*) *Od Redakcji:* Jakób Wojciechowski, utalentowany pisarz-robotnik, autor „Życiorysu własnego robotnika", laureat Polskiego Instytutu Socjologicznego, nie ustaje w pracy pisarskiej. Prócz „Życiorysu", został wydany w r. ub. tom opowiadań Wojciechowskiego p. t. „Raz kiedyś a obecnie" ze wstępem Boya-Żeleńskiego. Nowe opowiadanie, które tu zamieszczamy, wysnuł Wojciechowski ze swych wędrówek po ziemi Kujawskiej, kiedy przyłączał się po drodze do wciąż innych grup ludzkich, szukających pracy i chleba. Mamy tu zadokumentowany pewien tragiczny objaw społeczny, który Halina Krahelska nazwała „cyganizacją życia polskiego": coraz więcej gromad wędruje po kraju w poszukiwaniu zarobku. Tytuł opowiadania „Droga szczęścia" jest więc wyraźnie ironiczny. I w tem również opowiadaniu stwierdzamy najbardziej charakterystyczne cechy indywidualności pisarskiej Wojciechowskiego, te, o których pisał Boy-Żeleński w „Epoce": „Wodzi ciekawem, czasem naiwnem, ale zawsze rozumnem spojrzeniem po świecie. Odbija się w tem spojrzeniu smutek, a jeszcze bardziej zdumienie, że ludzie tak sobie życie utrudniają, że tacy są niedobrzy dla siebie wzajem; i umiłowanie swobody, byle nie była z cudzą krzywdą. Wędrówki Wojciechowskiego mają coś z wędrówek poety, jego obserwacja nie jest przytem pozbawiona swoistego humoru. Cechuje go pewna fałszywie tak nazwana „amoralność", która jest poprostu moralnością ludzkiej dobroci, bodaj z lekceważeniem umownych konwenansów".

w drodze mógł towarzyszyć. A tak śmiało i otwarcie mi w oczy spojrzała, jakby mnie chciała swojem wzrokiem uśpić, i dała mi tak śmiałe i odważne zapytanie i mówi:

— A ty towarzyszu, czy jesteś wdowcem? Co twoje myśli i twoja mowa obudzi ostatnią śpiącą żyłę w niewiaście?

— Przez żadnego namysłu mówię do niej: wdowcem nie jestem, jeno starym kawalerem, bo gdy byłem młodszy to mnie panny nie chciały, z powodu mojej marnej urody, a do wdowy, albo do rozwódki to nie miałem odwagi się udać i o rękę poprosić, a z tego powodu pozostałem i pozostanę starym kawalerem i już żadnej więcej nie będę przysięgi składał. A gdy mi się trafi taka, która jest na się pewna, to jej będę chętnie towarzyszył. A gdy mi wypomni, że ma obawę, aby nie zapadła, to jej daję zaraz krzyż na drogę i mówię do niej „My oboje będziemy szczęśliwi, jak się oboje znać nie będziemy, a zwłaszcza w tych smutnych teraźniejszych czasach".

Rozwinęła się coraz to więcej ożywiona rozmowa. Jedna niewiasta mówi: Niech sobie pan o nią głowy nie zawraca. Inna mówi: Ona też tylko była z krwi i kości, jak i my są. Jeszcze inna mówi: A dy ona też nic innego nie miała, jak my wszyscy. Jedna odważna niewiasta mówi: Ona była blondynka, może miała coś pozłoconego, co się tak panu spodobało?

— O te sprawy co wy sobie myślicie mi się nie rozchodzi, ale cokolwiek różnicy zapewne jest pomiędzy niewiastami.

— A co za różnica ma być pomiędzy nami?

— Kochane panie, różnica była ta, że ta dziewczynka była śmiała i odważna i nie zlękła się przy najgłębszej i najgoręciejszej miłości, że będzie musiała jakiego malca za sobą prowadzać. Zawsze była pewna, że jej się nic niepożądanego nie stanie i mi zawdy powtarzała: trzeba użyć świata tak długo, jak mi są miłe moje młode lata. A wy kochane panie nie macie tej wesołości, bo widzę, że gromady dzieci koło was, obok was uwijają, a mojem zdaniem wesołość ja mianuje tylko tę, o której przedtem mówiłem.

Temi słowami rozweselałem tę całą gromadę i rozwinęła się ożywiona dyskusja na ten temat, niewiasty mnie obstąpiły i jedna mówi do mnie:

— To — co pan na myśli masz, to my o tem wiemy wszystkie przez wyjątku co my tu są. Wiemy my o poradni i wiemy o środkach i wszyscy pracujemy w tych myślach o których tu pan wspominasz.

— Kochane panie, zdaniem mojem nie zachowujecie się wedle czasu teraźniejszego.

— Jakto nie?

— Bo widzę, że gromady malców ze sobą prowadzacie?

— Te malce są one przed czasem kiedy nam brakło oświaty, a dzisiaj już się to nam nie zdarzy, i my mamy te same ochrony co miała pana kochanka, którą tak pan kochasz chociaż jej nie widzisz.

Przy tej sposobności wstaję na nogi i się oglądam na wszystkie strony świata...

Ta niewiasta, która nie miała towarzysza, hipnozuje mnie coraz bardziej swemi oczami, powstała z miejsca, dała mi znak, aby z nią odejść na stronę.

Trudno, mężczyzna niewiaście nic odmówić nie może, idziemy na stronę jakie 15 albo 20 kroków, rozmawiamy o wędrówce, spoglądają się na nas nasze towarzyszki i towarzysze. Zapewne kazali te towarzyszki synkowi biegnąć za swoją mamą, synek dochodzi do mamy, chwyta ją za rękę, mama każe mu iść z powrotem, ma uważać na jeich bagaż aby nie zginął. Synek dosyć usłuchany wraca się do tej wielkiej gromady. Spytałem się tej niewiasty:

— A skąd tego synka nabyłaś?

— Byłam żeniata przez dwa lata, żyłam z nim wspólnie, ale dalej z nim żyć nie mogłam.

— A czemu? Czy nie był zdrowy?

— Zdrowy jak zdrowy, ale był taki zazdrosny, gdy rozmawiałam z jakim mężczyzną, to mnie zaraz bił i poniewierał, żyłam gorzej jak w jakiem więzieniu. I w takich warunkach z nim życia nie mogłam prowadzić, on mnie nie miał dosyć, patrzał za innemi, a ja miałam być jak niewolnica, ja jestem jeszcze młoda i chcę żyć.

— A nie masz obawy, aby to życie miłosne ci się ciężarem stało?

Milczy.

— A poco się pytasz, czy byś chciał ze mną wędrować?

— Tak, ale jedynie pod warunkiem, jak już na wstępie oświadczyłem.

— Tobyś chciał tylko ze mną na sumater chodzić?

— A co ty sobie więcej myślisz? Zmieniają się czasy, nastaje małżeństwo próbne i koleżeńskie.

— A o prawdziwej żyniatce myśleć byś nie chciał?

— Nigdy w życiu.

Dochodzimy do tej wielkiej gromady, każdy bierze swój bagaż na plecy w takim pośpiechu, jakby się na pociąg szykowali. Ten cały pociąg wędrowny ruszył z miejsca; jedno dziecko chce żeby je mama wzięła na plecy, drugie nie może zdążyć, trzecie idzie do rowu, zrywa kwiatki, matka na nie krzyczy, że się ma pospieszyć, jedno zbija sobie palce, płacze, że mu krew ciecze i t. d. Idziemy w pełnych parkach, synek tej niewiasty chwycił mnie za rękę, matka jego ugina się od ciężaru swego bagażu. Pytam się tego chłopca czy już był w szkole.

— Tak, dwie zimy chodziłem; latem jak my są na wędrówce to nie mogę chodzić do szkoły.

— A cożeś się nauczył, możesz już głoski napisać?

— O tak, już mogę więcej niż głoski.

Wyciągnąłem z kieszeni notaczkę i ołówek. Każę mu pisać i już do zadowolenia mógł trochę pisać. Schwycił swoją mamę za rękę i ją zatrzymuje. Licho to zauważałem i wolnym biegiem postępuje naprzód, zmiarkowałem, że ten synek ma jaką prośbę do swej mamy, pytam się go, co on od mamy żąda? Nie ma śmiałości powiedzieć, pytam się jego mamy, ona mówi: On chce tę notaczkę i ołówek. Napisałem w niej swój dokładny adres i ofiarowałem mu te dwie rzeczy w tem zaufaniu, gdy raz będą przez Barcin przechodzić, mają do mnie wstąpić. A czy nie chcecie dalej z nami iść? — Nie dziecko, ja pozostanę w tej wiosce i gdy pociąg nadejdzie, odjeżdżam w kierunku do niemieckiej granicy.

Matka tego synka myślała, że ja żartuje z niego, tymczasem doszliśmy do stacji kolejowej. Dałem temu chłopczykowi 1 złoty 50 groszy, uścisnąłem tej niewieście rękę i mówię dowidzenia. Potem dałem temu chłopcu ręki i mówię: Raz kiedyś będziesz czytał książkę o twej wędrówce, którą ułożył Ja-

kób Wojciechowski. Wziąłem pożegnanie od tej wędrownej gromady i opuściłem ją. Pociąg nadchodzi, wracam do swego gniazda.

Tak wiele sposobności mam dzisiaj rozmawiać z niewiastami, które są rozwódki albo z innych niepożądanych przyczyn opuszczają swoje okolice rodzinne.

Dziewczyny, które przez jaką nieświadomość zapadną w ciążę, za ten fałszywy wstyd ponoszą winę, że setki dziewczyn opuszcza swoje strony, wędruje z miejsca na miejsce, nie mają pewnego celu gdzie się udać, nikt im nie wskaże prostej drogi, gdzieby im było możliwe odpowiedni kawałek chleba otrzymać, nie chodzić chłodno i głodno. Niestety chodzi z miejsca na miejsce szuka szczęścia, ale czy je znajdzie? Zapewno prędzej rozpacz, jak szczęście na wędrówce.

Znowu moja głowa nabita myślami o tej wielkiej wędrownej rodzinie. A druga myśl: kto ponosi winę tych nieszczęśliwych losów? Do jakiej ruiny i rozpaczy doprowadzona niejedna rodzina, któraby mogła być tak szczęśliwa, jakby jej się słusznie należało...

Jakób Wojciechowski

DLA WYGŁUPINÓW

Zamieszczony w n-rze 35-tym *Epoki* artykuł p. Eugenjusza Cękalskiego p. t. „Kulisy filmu polskiego" został przytoczony przez wileńskie *Słowo*, które dodaje od siebie uwagę następującą:

„Naczelne miejsce wśród tej prasy, która jest na usługach producentów filmowych, zajmuje tygodnik „Kino". Pismo to demoralizuje widza polskiego, wychowując go w kulcie do Smosarskiej, Brodziszów i Sawanów. Młodzież całej Polski zaczytuje się „Kinem", oprawia w ramki umieszczone tam fotki umiłowanych gwiazd i gwiazdorów. I w ten sposób pielęgnuje się ideały filmowe Grajdołków i Wygłupinów.

Uzdrowienie więc polskiego filmu nie jest łatwą sprawą. Mogłoby się wziąć do tego społeczeństwo. Ale społeczeństwo składa się z nielicznych znawców, którzy odwrócili się od polskiego filmu i owego tłumu, który szaleje za Smosarską".

Podzielamy opinję *Słowa* o ujemnej roli tygodnika *Kino*, który oddala szersze warstwy publiczności od wszystkiego, co w filmie dzisiejszym stanowi najistotniejszą wartość artystyczną i społeczną. Bardzo śliczne i bardzo kolorowe ilustracje „gwiazdorów", wywiady z byle kim i o byle czem, głupawe korespondencje egzaltowanych pensjonarek i szwaczek — cała ta robota poprostu obraża pojęcie współczesnej sztuki filmowej.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Przemoc i gwałt mogą dokonać wiele, mogą nieraz osiągnąć wszystko, do czego zmierzają, ale ten ich sukces jakkolwiek wielki jest zawsze ograniczony w czasie. Poszukują one dla siebie uzasadnienia, chcą pozyskać pozory słuszności i sprawiedliwości. Już ten objaw je zdradza i piętnuje: poszukiwanie pokrycia przez prawo piętnuje zbrodnię i nieprawość.

Tę starą prawdę ilustrują nam dzieje współczesnych Niemiec z niezwykłą dobitnością.

Znalazł się taki prezes jednego z sądów w Niemczech niejaki p. Dietrich, który na łamach „*Deutsche Juristen Zeitung*" dowodzi, że wroga wewnętrznego wolno bezkarnie zabijać.

— Wyplenienie wewnętrznego wroga — pisze ten hitlerowski jurysta — jest rzeczą honoru narodu niemieckiego, w dziele tem sędzia niemiecki może i winien uczestniczyć przez odpowiednią „wykładnię obowiązującego prawa karnego".

Wśród argumentów, do których ucieka się ten stróż prawa — sędzia, jest dłuższy wywód o tem, że skoro wolno zabić wrogiego żołnierza bezkarnie na wojnie, to tak samo uzasadnionem jest zabijanie wroga wewnętrznego.

Taka szczera i cyniczna konstrukcja prawa istotnie jest logiczną konsekwencją hitlerowskiej państwowości. Potrzeba formułowania tej dzikiej zasady dowodzi, że gwałt szuka dla siebie usprawiedliwienia i... nie znajduje go poza obrębem najpierwotniejszego barbarzyństwa.

A oto druga na wszechświatową skalę pomyślana ilustracja: proces fałszywie oskarżonych o podpalenie Reichstagu przed trybunałem w Lipsku.

Po tem, czego dokonały nowe rządy niemieckie od 27 lutego r. b. do naszych dni, zdawałoby się, że mogą one sobie pozwolić na „autorytatywne" proklamowanie swojej słuszności. A tymczasem tego im mało: rząd Hitlera chce dowieść światu, że w noc lutową zjawił się w Niemczech, jako zbawca wobec katastrofy, nadciągającej w łunie pożaru Reichstagu podpalonego przez spisek komunistyczny. Rząd ten twierdzi, że od 7-iu blisko miesięcy ma w swem ręku zbrodniarzy i że chce im wymierzyć sprawiedliwość. Ten potworny zamiar usprawiedliwienia przeszłych i przyszłych gwałtów został właściwie w oczach świata już udaremniony. Potęga Hitlera i setek tysięcy koszul brunatnych załamała się w tym procesie jeszcze zanim został on rozpoczęty.

Szczęśliwą myśl miała Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Paryżu, a za nią organizacja adwokatury angielskiej, urządzając w Londynie w przededniu komedji lipskiej, proces o podpalenie Reichstagu.

Tysiące ludzi słuchało z zapartym oddechem adw. Moro Giafferi i Henry Torrés'a w sali Wagram: zarówno ci, co słyszeli te mowy, jak ci, którzy je czytali, nie mają żadnej wątpliwości, że rząd Hitlera — Göringa powstał z ohydnej zbrodni.

P. Moro - Giafferi grożono anonimowemi listami za zgromadzenie dowodów prawdy poza granicą dosięgalności hitlerowskiej. Odpowiedział na te pogróżki przypomnieniem, stosownem dla tych, którzy mu grożą:

— Należę do rasy korsykańskiej, vendetta (zemsta) była u nas obyczajem ogólnie obowiązującym".

Mówił dalej p. Moro - Giafferi rzeczy zupełnie dla hitlerowców niezrozumiałe. Wskazywał on im, iż nie dlatego broni Torglera i 3 oskarżonych komunistów że nie podoba mu się rząd niemiecki, ale dlatego, że mu chodzi o prawdę i sprawiedliwość. Gdyby nawet rząd złożony z wielu przyjaciół politycznych zainscenizował taki proces, mówiłbym to samo — wołał obrońca francuski, ale obecnie w Berlinie nikt tego nie zrozumie.

A po tych wstępnych uwagach posypały się fakty, stwierdzone jeszcze później przez świadków w przewodzie londyń-

skim: poseł Torgler nie mógł podpalić Reichstagu, jego *alibi* jest zupełnie dowiedzione, van der Lübbe — to zboczeniec, manjak, znajdujący się całkowicie w rękach sztabu i szpiclów bojówek hitlerowskich, van der Lübbe nie był komunistą, a znaleziony przy nim rzekomo dokument jest falsyfikatem; aresztowani Bułgarzy nigdy, wbrew twierdzeniom oskarżenia, nie byli zamieszani w sprawę podpalania soboru św. Nedel. w Sofji.

Ale do tych twierdzeń negatywnych, obalających z trudem przez tyle miesięcy dźwigane oskarżenie, p. Moro - Giafferi dodał część pozytywną, adresowaną do tych, których oskarża.

— Powtarzam wobec całego świata — mówi adwokat francuski — to ty, Göring, jesteś mordercą, podpalaczem i winowajcą zbrodni, dokonanej w Reichstagu".

To, co mówią świadkowie przed trybunałem londyńskim — Bernhard, Breitscheid, Grzesiński, Koenen, dziennikarze, wszystko to jest potwierdzeniem ostatnich słów p. Moro - Giafferi.

To, co powie trybunał lipski jest już w tej chwili obojętne: oczywiście mogą paść ofiary z pośród dręczonych już w więzieniu od 7 miesięcy, ale wobec całego świata wyrok *in contiumatia* już został wydany: zbrodnia wieczoru lutowego w Berlinie została dokonana z premedytacją przez sztab hitlerowski, a z wiedzą Hitlera i Göbbelsa.

Kara za zbrodnię przyjdzie! Żadna przemoc i gwałt na to nie pomogą. Sprawiedliwość będzie wymierzona.

W innej dziedzinie — dziedzinie walk o wolność słowa brutalna przemoc hitlerowska też poniosła porażkę, pomimo pozorów sukcesu i fizycznych zwycięstw. Porażkę tej wszechmocy zadał świadomy swojej odpowiedzialności i obowiązków zawodu dziennikarz amerykański Mowrer.

Jak wiadomo, już na wstępie reżimu hitlerowskiego dziennikarz ten, stojący na czele klubu prasy zagranicznej w Berlinie, nie spodobał się nowej władzy. Zastosowano względem klubu prasy zagranicznej bojkot, aby pozbyć się p. Mowrer'a. Ten złożył swoją prezesurę w ręce kolegów, nie chcąc narażać na szwank interesów organizacji i dziennikarzy, ale gremium powołało go ponownie na prezesa. Aż do pierwszych dni września Mowrer wytrwał na posterunku. Przyszły nowe wydarzenia. Wśród zatargu z Austrją władze hitlerowskie uwięziły korespondenta berlińskiego *Neue Freie Presse*, 68-letniego Pawła Goldmanna. Jako cenę za jego uwolnienie, postawiono ustąpienie p. Mowrera z prezesury klubu. Dzielny dziennikarz ustąpił, aby zwolnić swego sędziwego kolegę. Ale tego było władzy hitlerowskiej za mało; trzeba było jeszcze pozbyć się Mowrer'a z Niemiec. Zawiadomiono poselstwo amerykańskie, że rząd niemiecki nie ręczy za bezpieczeństwo p. Mowrer'a i dyplomacja Stanów Zjednoczonych, chcąc uniknąć ostrego zatargu, któryby wynikł w razie napadu na dziennikarza, skłoniła go do opuszczenia kraju.

Jak dotąd rejestrujemy zwycięstwa gwałtu, Mowrer jednak przed samym wyjazdem napisał list do klubu prasy zagranicznej, odczytany na walnem zebraniu tej organizacji. Wyłożył w nim dzieje swojego wyjazdu a dalej pisał mniej więcej tak: rząd niemiecki będzie teraz twierdzić, że dziennikarze zagraniczni mają całkowitą swobodę w Niemczech, toteż stwierdzam, że

1) rząd niemiecki prześladuje korespondentów zagranicznych dlatego, że piszą prawdę,

2) rząd niemiecki w ten lub inny sposób zmusił do opuszczenia Niemiec kilkunastu dziennikarzy (Mowrer wyliczył 15 nazwisk), którzy nie chcieli zrzec się swej niezależności i wobec tego nie mogli sprawować swoich czynności w tych warunkach.

Gdy — kończy swój list p. Mowrer— korespondentom zagranicznym uniemożliwia się mówienie u siebie w kraju tego, co mają do powiedzenia, najlepiej jest zapakować kufry i wyjechać.

Lepiej — pisze w końcu p. Mowrer — żeby syndykat był rozwiązany, niż gdyby miał zostać „zrównany" (Gleichschaltung).

Oto spór, w którym znowu siła brutalna, pomimo że postawiła na swojem, walkę przegrała: po dziejach p. Mowrera i jego ostatnim liście nikt nie uwierzy, aby wolno było z Niemiec pisać prawdę o Niemczech.

***

Sezon letni nie poraz pierwszy w tym roku nie był okresem zacisza w polityce międzynarodowej: narady i podróże mężów stanu były najlepszym symptomem nieustającego ruchu i ożywienia. Teraz mamy nowy sezon genewski, w którym to, co kluło się w lecie wynijdzie na powierzchnię.

Ruszyły naprzód w tych letnich układach różne porozumienia częściowe, nie ustał jednak stan bezładu i bezwładu, konferencja rozbrojeniowa nie ma od czego zacząć, Liga Narodów jako całość nie jest przygotowana należycie do wyciągnięcia konsekwencji z gnębienia mniejszości narodowych w Niemczech. W atmosferze ponurej, dusznej, zbierają się zgromadzenia międzynarodowe w instytucjach, które od lat 14-tu miały budować pokój i ład na świecie.

St. Gr,

ŚWIAT PRACY WOBEC POŻYCZKI NARODOWEJ

Mocno zaciążył kryzys gospodarczy na klasie pracującej. Zaciążył niewspółmiernie w stosunku do innych sfer społeczeństwa.

Robotnik przemysłowy, robotnik rolny i pracownik umysłowy od paru lat wciąż obniża poziom swego życia, rezygnuje z szeregu najważniejszych potrzeb, często zaledwie wegetuje, z trudem mogąc wyżywić siebie i rodzinę.

Redukcje, obniżki, skrócony dzień pracy i jeszcze obniżki — coraz większym ciężarem spadają na barki pracowników.

Zapewne nietylko pracownicy odczuli złe skutki kryzysu. Z pewnością i świat kapitału znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Istnieje tu jednak zasadnicza różnica.

Przeciętny właściciel majątku rolnego, czy zakładu przemysłowego wyrzeka się raczej przyjemności życia, pewnej sumy mniej lub bardziej luksusowych przyzwyczajeń, nabytych w okresie dobrej konjunktury. Natomiast pracownik musi rezygnować z wydatków niezbędnych, gorzej mieszkać, niedojadać, przestać uczyć dzieci.

To też w tym stosunku światu pracy odjęto niewspółmiernie więcej, zażądano od niego znacznie większych ofiar, które miały dopomóc do przetrwania trudnego dla państwa okresu.

Świat pracy poniósł tę ofiarę.

Można już dziś z całą stanowczością stwierdzić, że robotnik i pracownik umysłowy wykazał tak, jak i podczas wojny, całkowite zrozumienie sytuacji w państwie, pełen gotowości do rezygnacji ze swych najistotniejszych potrzeb.

Kiedy na jesieni 1931 r. rząd powołał Naczelny Komitet do walki ze skutkami bezrobocia, nie kto inny, jak świat pracowniczy wykazał swą ofiarność.

Komitet z jednej strony mobilizował środki finansowe na doraźną pomoc bezrobotnym, z drugiej strony rzucił hasło podziału sumy istniejącej pracy między jaknajwiększą liczbę robotników.

Z zestawień Komitetu wynika niezbicie, że to pracownicy właśnie najwydatniej przyczynili się do zasilenia funduszów Komitetu, mimo, że już wówczas znajdowali się w bardzo trudnych warunkach finansowych.

Obok tego zaś robotnicy jeszcze w inny sposób wykazali daleko idącą solidarność świata pracy. Ileż to zacytować można strejków, które miały na celu zmuszenie przedsiębiorcy, by utrzymał przy pracy wszystkich robotników przez zmniejszenie liczby dni pracy w tygodniu.

Robotnik, zarabiając kilka złotych dziennie, przy pełnym tygodniu pracy

mógł zaledwie utrzymać siebie i rodzinę. Mimo to jednak nietylko dobrowolnie rezygnował z 3-ch, czy 4-ch dni pracy w tygodniu, ale miał odwagę walczyć o to z przedsiębiorcą i walkę wygrywał.

To, doprawdy, dowód nie mniejszego bohaterstwa, niż ten, jaki można złożyć w walce na bagnety.

W tem świetle jest zupełnie jasnem, że pracownik poniesie i nowe konieczne ofiary, chociaż są one dla niego coraz bardziej ciężkie.

Niestety, sytuacja finansowa kraju wymaga ich w dalszym ciągu.

Rezerwy skarbowe są na wyczerpaniu, Dalsze oszczędności budżetowe nie są już możliwe, godziłyby bowiem w najistotniejsze podwaliny społeczeństwa.

Rząd nie chce i nie może dopuścić do dalszego zwiększania niedoborów skarbowych, które w konsekwencji doprowadzićby mogły do inflacji.

Zapewne inflacja sprowadziłaby chwilowe ożywienie na rynku przemysłowym, ożywienie to jednak wiązałoby się z doraźną obniżką kosztów produkcji naskutek spadku realnych zarobków robotniczych. Ceny wszystkich towarów podskoczyłyby w górę, robotnicy jednak nie tak łatwo wywalczyćby mogli podniesienie stawek płac. Chaos i dezorganizacja, wywołana inflacją również nie przyczyniłyby się do poprawy warunków życia klasy pracującej.

A przytem pracownicy straciliby ostatnie rezerwy, odłożone w kasach oszczędności w drodze największych wyrzeczeń.

Spadek wartości tych, z trudem odłożonych oszczędności, byłby wielkim ciosem dla sfer pracowniczych.

To też rząd, zmuszony koniecznością, zdecydował się na pożyczkę wewnętrzną.

Pożyczka wewnętrzna, choć niełatwa może do zrealizowania po kilkoletnim okresie kryzysu i wyczerpaniu zasobów finansowych przeciętnego obywatela, ma tę jednak ogromną wyższość nad pożyczkę zewnętrzną, że nie uzależnia nas od obcego kapitału.

Argument ten jest ważny w pierwszym rzędzie dla świata pracy. Gospodarka obcego kapitału w Polsce dość mocno zaciążyła już na doli pracownika. Pracownicy zrozumieli hasło rządu „własnemi siłami", Unja związków zawodowych pracowników umysłowych zadeklarowała gotowość złożenia potrzebnej państwu daniny. Te same deklaracje składają urzędnicy państwowi.

J. M

RZECZPOSPOLITA POLSKA

MINISTERSTWO SKARBU

Podaję do publicznej wiadomości, że do przyjmowania subskrypcji 6% Pożyczki Narodowej upoważnione są następujące instytucje oraz przedsiębiorstwa bankowe wraz ze wszystkiemi swemi oddziałami:

Bank Polski
Bank Gospodarstwa Krajowego
Państwowy Bank Rolny
Pocztowa Kasa Oszczędności
Wszystkie Komunalne Kasy Oszczędności

Akcyjny Bank Hipoteczny — Lwów
Bank Angielsko-Polski — Warszawa
Bank Cukrownictwa — Poznań
Bank Dyskontowy — Warszawa
Bank Francusko-Polski — Warszawa
Bank Handlowy — Warszawa
Bank Komercjalny — Kraków
Bank Kratochwill i Pernaczyński — Poznań
Bank Amerykański w Polsce — Warszawa
Polski Bank Komunalny — Warszawa
Bank Spółek Niemieckich — Łódź
Polski Akc. Bank Komercyjny — Warszawa
Bank Kwilecki, Potocki i Ska — Poznań
Bank Poznańskiego Ziemstwa Kred. — Poznań
Bank Towarzystw Spółdzielczych — Warszawa
Bank Zachodni — Warszawa
Bank Związku Spółek Zarobkowych — Poznań
Powszechny Bank Kredytowy — Warszawa
Powszechny Bank Związkowy — Warszawa
Śląski Zakład Kredytowy — Bielsko n/Śl.
Powszechny Bank Depozytowy — Warszawa
Komunalny Bank Kredytowy — Poznań
Łódzki Bank Depozytowy — Łódź

—.—

Centralna Kasa Spółek Rolniczych
Bank Spółdzielczy „Społem" z ogr. odp.

—.—

Dom Bankowy D. M. Szereszowski — Warszawa
Dom Bankowy Henryk Akst — Warszawa
Dom Bankowy Zjednoczonych Bankowców Antoni Pawlikowski i Ska — Warszawa
Dom Bankowy Wincenty Wolański — Warszawa
Dom Bankowy O. Grüss — Lwów
Dom Bankowy A. Holzer — Kraków
Dom Bankowy Wacław Klepczyński — Warszawa
Dom Bankowy Józef Skowronek i Ska — Warszawa
Dom Bankowy Natan Morgenstern — Warszawa

Kantor Wymiany Juljan Adelberg — Warszawa
Kantor Wymiany Blumental i Czerwiński — Warszawa
Kantor Wymiany J. Dzierżanowski — Warszawa
Kantor Wymiany S. B. Gelbfisz — Warszawa
Kantor Wymiany Ludwik Kobryner — Warszawa
Kantor Wymiany Juljan Langer — Warszawa
Kantor Wymiany Thieme, Greulich i Ścigalski — Warszawa
Kantor Wymiany W. Pelc — Warszawa
Kantor Wymiany A. i M. Skowronek — Warszawa
Kantor Wymiany L. Targownik — Warszawa
Kantor Wymiany Jakób Wolanow — Warszawa
Kantor Wymiany Henryk Totenberg — Warszawa
Kantor Wymiany Sander i Weiss — Warszawa
Kantor Wymiany A. Wegmeister — Warszawa

oraz kasy wszystkich urzędów skarbowych

Wobec licznie napływających zgłoszeń wszystkie wyżej wymienione placówki subskrypcyjne upoważnione są do przyjmowania deklaracyj subskrypcyjnych przed urzędowym terminem otwarcia subskrypcji.

(—) Stefan Starzyński

KOMISARZ GENERALNY
POŻYCZKI NARODOWEJ

Warszawa, dnia 14 września 1933 r.

KOMUNIKAT

Pan Minister Skarbu wydał zarządzenie dotyczące sposobu regulowania należności Skarbu Państwa obligacjami 6% Pożyczki Narodowej. W myśl tego zarządzenia ogłoszonego w Monitorze Polskim z dnia 20 września 1933 r. Nr. 216 wierzyciele Skarbu Państwa, pragnący otrzymać swe należności w obligacjach 6% Pożyczki Narodowej winni zgłosić się najpóźniej do dnia 4 października b. r. do właściwej władzy asygnującej II względnie III instancji o wydanie zaświadczeń, stwierdzających wysokość kwoty, jaka przypada do uregulowania przez Skarb Państwa. Zaświadczenia takie winny być następnie składane w okresie od 28 września do 7 października b. r. przez zainteresowanych zamiast gotówki razem z deklaracjami subskrypcyjnemi odpowiednio wypełnionemi w kasach urzędów skarbowych.

Żadne inne placówki subskrypcyjne poza kasami skarbowemi zaświadczeń tych przyjmować nie będą.

Cena obligacji w takich wypadkach obliczana będzie w wysokości zł. 94.80 za 100 zł. nominału (wzgl. zł. 47.60 za obligację 50 złotową) ze względu na bonifikatę, przewidzianą w §§ 5 i 6 rozporządzenia Min. Skarbu z dnia 7 września 1933 r. (Dz. U. R. P. Nr. 67 poz. 507). Ponieważ kasy skarbowe nie mają prawa wypłacać różnic w gotówce, zainteresowane osoby powinny żądać zaświadczeń, stwierdzających ich należności od Skarbu Państwa na sumy, pokrywające się z kwotami przypadającemi do zapłacenia za obligację.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu R. Z. w Warszawie. Przesłaliśmy p. Janowi Waśniewskiemu.

Pani O. H. we Lwowie. Skorzystamy.

Panu K. G. w Grajewie. Dziękujemy. Wysłaliśmy wszystkim.

Panu L. Z. w Krakowie. W 48-ym numerze „Epoki".

Pani Helenie W. w Łodzi. Nie możemy zamieścić.

Panu Władysławowi K. w Grodnie. Materjały bardzo interesujące, ale bezładne, nieuporządkowane. Przed wydaniem broszury należy to wszystko opracować, żeby czytelnikom uprzystępnić. Za dużo cyfr. Należy zostawić najbardziej wymowne i te skomentować.

Panu Zdzisławowi T. w Olkuszu. Mocno przesłodzone. Czasy nie po temu.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Stefan Dziewulski: Zagadnienie kartelizacji w Polsce. Rolnicza Księgarnia Nakładowa. Poznań 1933.

Kazimierz Kalinowski: Wiara w człowieczeństwo. Na marginesie „Szkiców" Adama Szymańskiego. Skład główny w Domu Książki Polskiej. Warszawa, 1933.

Stanisław Małachowski-Łempicki: Wolne mularstwo w Lubelszczyźnie 1811 — 1822. Nakładem „Dziennika Urzędowego Województwa Lubelskiego". Lublin 1933.

Od administracji

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 4-ty kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6 (Konto P.K.O. Nr. 26.630.)

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z. 603 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3